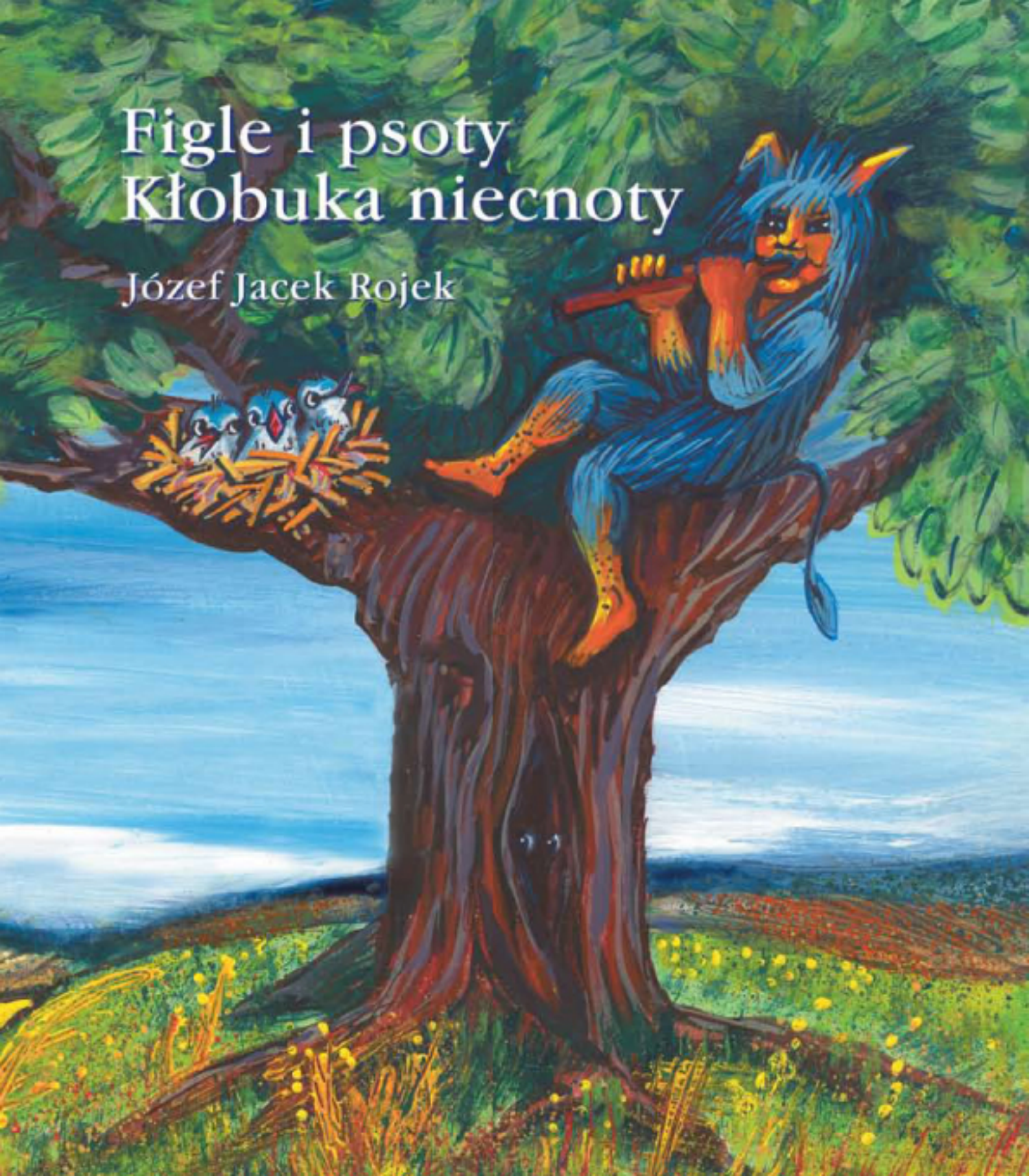


Figle i psoty Kłobuka niecnoty

Józef Jacek Rojek







Figle i psoty Kłobuka niecnoty



Józef Jacek Rojek

Figle i psoty Kłobuka niecnoty

Baśń mazursko-warمیńska

Ilustracje

Julita Wiench-Kurłowicz



EDYTOR
wers

Olsztyn 2004

Redakcja
Tomasz Śrutkowski

Ilustracje
Julita Wiench-Kurłowicz

Opracowanie graficzne,
skład i łamanie
Adam Kurłowicz

Korekta
Zespół

Wydawca
Edytor „WERS”
10-089 Olsztyn
ul. Gałczyńskiego 48
tel. kom. 600 918 906

ISBN 83-919110-5-5

© Copyright by Józef Jacek Rojek, Olsztyn 2004
© Copyright by Edytor „WERS”, Olsztyn 2004

Druk
Przedsiębiorstwo Poligraficzne Zbigniewa Adamowicza
„ARTPRINT” w Olsztynie
10-670 Olsztyn, ul. Ciechocińska 2

*Kto czytał o skrzatach,
Krasnalach i elfach,
Kto słuchał koncertu
Świerszcza za kominem –
Niech pozna też psoty
Kłobuka niecnoty.*

*Milenie i Wojtkowi
oraz wszystkim dzieciom*

Autor



Rozdział I

O tym, dlaczego sójka za morze się nie wybrała



głębi lisiej jamy, do której wejście krył gęsty krzak jałowca przylegający do pnia potężnego dębu, dobiegł najpierw szelest poruszonego legowiska, później głośne ziewnięcie, a w chwilę później z ciemnej zieleni igliwia wyłonił się rudy pyszczek. Padał jesienny, chłodny deszcz, a w jego szumie czujne ucho lisa odkryło odległy jeszcze gwar. Zwierzę zaciekawione, ale i złe wychyliło się zza jałowca.

– A kogóż tam, o tej porze, licho nosi po lesie? – zamruczał lis nadśluchując. – Jakieś krzyki, jakieś śpiewy... No, tak. Odkąd lwa zabrali do zwierzyńca, nikt nie szanuje rozkazów wydanych przed laty. A przecież sokoła straż porządkowa uprzedziła niegdyś wszystkie zwierzęta i ptaki, że po godzinie dziesiątej, czyli jak mówią w miastach: po dwudziestej drugiej, hałasować nie wolno. Ej, porządki, porządki! – wysunął się jeszcze o pół kroku. Nadstawił uszu i zaraz się cofnął. Obok, między drzewami, przemykały jakieś zwierzęta, nad nim łopotwały skrzydła – przez las przebiegała i przefruwała kosmata i pierzasta ciżba, a wszystko to śpiewało radośnie na różne głosy:

Białowłosa, śnieżna pani,
lodowata, mroźna zima,
nie przekroczy lasu granic,
w chłodzie nas nie będzie trzymać.

Śniegiem nam nie sypnie w ślepią
i zadymką nie zawieje,
żyć będziemy śmieiej, lepiej,
z zimy każdy dziś się śmieje.
Hej, ho! Hej, ho! Niech śpiewa cały las!
Hej, przez lat sto, żyj sójko pośród nas!

Lis aż łbem pokręcił ze zdziwienia. To, co usłyszał, nie mieściło mu się w głowie, a przecież była to głowa, a raczej łeb, nie od parady.

– Niech mnie kurczak zadziobie... – zaczął i urwał, bo śpiew, który na chwilę ucichł, poniósł się znowu po lesie – jeszcze głośnieiej, jeszcze radośnieiej:

Zima wścieka się i miota
za lodowych murów ścianą,
przyjść by miała tu ochotę,
lecz jej tego zakazano.

Złote słońko powiedziało,
że od tego właśnie roku
zima, spoza lodu zwałów,
nie ruszy się ani kroku.
Hej, ho! Hej, ho! Niech śpiewa cały las!
Hej, przez lat sto, żyj sójko pośród nas!

Piosenka się skończyła, ale okrzyki: „Niech żyje sójka! Brawo, sójka!” długo jeszcze dźwięczały w uszach zaskoczonego lisa.

– Powariowali! – parsknął gniewnie. – Przysięgam na moją rudą kity, że całkiem powariowali. Słońko im powiedziało, a sójka – niech żyje!... Nic z tego nie rozumiem. Chyba przejdę się i popytam, o co tu chodzi. – Wysunął się z jałowca, gdy nagle z głośnym tupotem wpadła niemalże na niego jakaś kosmata bryła. Ledwie zdołał uskoczyć.

– Do stu par tuczonych gęsi! – wrzasnął.

– Bo co?! – kosmata bryła zatrzymała się w miejscu; poznał głos dzika.

– Mógłbyś pan uważać! Małoś mnie nie rozdeptał!

– Nie podoba się? – Ton, w jakim padło to pytanie był już groźną zaczepką, ale lis tego nie zauważył.

– Pewnie, że nie! – dygotał ze strachu, ale i z gniewu. – Zachowuje się jak dziki. Nic dziwnego, dzik! Pospolity tucznik i do tego jeszcze dziki.

Dzik aż kwiknął z wściekłości.

– Coś powiedział, lisie? – przysunął się bliżej.

– No... że... – lis się przezornie odsunął. – Że... że jesteś dzikiem!

– Sam wiem, że nie zając. Ale ty coś mówisz o tuczniku... – chrząknął groźnie.

– E, nie. Przesłyszał się pan... Narobili tu tyle hałasu...

– Ale, ale – rad był, że może zmienić temat – cóż to za uroczystość? Mógłby mi pan łaskawie wytłumaczyć, czemu oni tak się cieszą?

– Nie mam czasu! – odburknął dzik i już się odwracał, ale lis go zatrzymał.

– Chwileczkę! Ja tam nie nalegam, ale znając przysłowiową grzeczną księcia lasów, dzika...

– O, tak do mnie trzeba mówić – dzik się zatrzymał. – Otóż, widzisz, mój lisie – zaczął łaskawie – słonko dało nam swoje słoneczne słowo, że w tym roku zimy nie będzie. No i co ty na to? Naprawdę o niczym nie wiesz? Ty, taki mądrała!

– Jakież tam mądrała – zaprotestował lis. – Biedny, rudy lis ze mnie. A że nie wiem, to fakt.

– Widzisz! A więc słuchaj dalej. Po tych paru tygodniach słoty, jesiennej słoty bez mrozów, bez śniegów, bez żadnej zimy, ot, tak od razu, ciach–mach, i przyjdzie wiosna. No i co, mądrała? Jest z czego się cieszyć?

– A pewnie, pewnie... – w przymilnym głosie lisa czaiła się drwina, czego dzik jeszcze nie odczuł. – Jeśli wasza książęca dzika mość pozwoli, to chciałbym zadać jeszcze małe pytanko.

– Mów – pozwolił łaskawie dzik.

– Kto waszej książęcej dzikiej mości, no i tym wszystkim w lesie powtórzył słowa słonka?

– Kto? Mogłeś się chyba domyśleć, słysząc o czym śpiewali. Ej, ty mądrała! Sójka, oczywiście! Możemy jej wierzyć, bo ufając zapewnieniom słonka nie wyjechała za morze, chociaż... – urwał, bo lis zaczął się śmiać.

– Sójka! Sójka im powiedziała! – krztusił się śmiechem. – Cha, cha, cha! Trzymajcie mnie bo pękne! Nie wyjechała za morze, bo zimy nie będzie! Cha, cha, cha!

– Co ty, lisie? – zaniepokoił się dzik. – Co cię tak rozśmieszyło?

– Nie, już nie mogę! – śmiał się dalej lis. – Sójka?! No i kto mi teraz zaprzeczy – mówił już poważnie – jeżeli będę odtąd powtarzał, że dzik to nie tylko tucznik

dziki, ale i głupi. Tak, tak, głupi! – wrzasnął i odskoczył w jałowiec, bo dzik runął na niego jak czołg, gotów go stratować. – Uff! – sapnął lis wpadając do jamy. – Ledwie mu umknąłem. Jak mi błysnął, bestia, kłami przed nosem, myślałem, że już koniec ze mną... – Ciągłe jeszcze sapiąc, wyciągną się na legowisku i po chwili znowu się zaśmiał: – Sójka mu powiedziała! Cha, cha, cha!

Dwoje lisiąt: lisek i lisiczka, przyskoczyło do poważnego zazwyczaj ojca i zaczęło go poszturchiwać nosami.

– Tato, no, tato! Co sójka powiedziała? – dopytywały się.

– Tato! Kto błysnął kłami? – lisek pociągnął go za ogon.

– Cicho, smyki! – zdenerwował się ojciec. – Przynieś mi wody – zwrócił się do synka. – Zgrzałem się... – Upił trochę z podsunętej mu pod nos miseczki, oblizał wąsy. – No, chodźcie tu bliżej, mikrusy. Nie będę sobie gardła zrywał... – zaczekał, aż przestaną się popychać i przepychać, a kiedy już siadły spokojnie i wlepiły w niego płonące ciekawością ślepka, poprawił się w legowisku, odchrząknął i powiedział:

– Z tą sójką to było tak – mówił spokojnym, równym głosem. – Wiecie, że co roku wybiera się ona za morze i wybrać się nie może. Jest nawet takie przysłowie...

– Wybiera się jak sójka za morze! – zakrzyknęły zgodnie lisięta.

– Właśnie! No więc wybiera się, wybiera i nie może się wybrać. Albo na bilet jej zabraknie, albo ostatni pociąg przegapi, albo do wron na wesele pojedzie, albo z kukułką się pobije i potem w dziupli musi się kurować...

W tym roku było podobnie. Przehulała wszystkie pieniądze, a kiedy jej już zaledwie pięć złotych zostało, przychodzi do mnie i prosi: „Pożyczcie, sąsiedzie, parę tysięcy, jak wrócę z za morza, zaraz oddam. Trzeba wam wiedzieć – mówi – że mam tam, za morzem, bogatego wujka. Dacie mi pięć tysięcy, dzie sięć wam oddam.

– A ty, co? – przerwał mu lisek.

– Wyśmiałem ją. Czy to ja głupi, żeby pożyczać pieniądze do odebrania na święty nigdy? Nie, taki głupi, to ja nie jestem.

– Jesteś najmądrzejszy ze wszystkich – zapewniła go lisiczka. – I co z tą sójką?

– Przecież wam mówię! – zniecierpliwił się lis. – Chciała pieniędzy, wyrzuciłem ptaszysko z jamy i może się cieszyć, że jej nie schrupałem.

– A czemuś jej nie schrupał? – zdziwił się lisek. – Żal ci jej było?

– Za stara... Łykowata... Ale wy mi stale przerywacie! – rozłościł się. – Na czym to ja skończyłem?

– Że ją wyrzuciłeś – przypomniała lisiczka.



- Że łykowata – uzupełnił lisiek.
- No więc, pieniędzy nie dałem i teraz widzę, że to ptaszysko, z którego cały las się śmieje, znalazło przecież sposób, żeby się wytłumaczyć... Albo jej ktoś to podsunął...?!
- Co jej podsunął?
- Kto podsunął?
- Sposób, sposób! A kto, tego jeszcze nie wiem. Nieważne zresztą. Ważne, że rozpaplała; rozniosła po lesie, że w tym roku zimy nie będzie, że za dwa, trzy tygodnie zamiast zimy nadejdzie wiosna.
- Jak można w to uwierzyć? – zdziwił się lisiek.
- Przecież to niemożliwe! – zawołała lisiczka.
- Pewnie, że niemożliwe – przytaknął lis. – Pewnie, że zima przyjdzie, pewnie, że zwierzęta są głupie... To wszystko jest takie pewne, jak to, że tłusta gęś nie jest chuda i to, że lisa nie na darmo nazywają chytrym. A głupotę innych należy sprytnie wykorzystać.
- Jasne! – przytaknęła lisica, która niepostrzeżenie wsunęła się do jamy i od paru już minut przysłuchiwała się rozmowie.
- O, jesteś! – ucieszył się lis. – Gdzieś ty była tak długo? Przyniosłaś coś?
- Przyniosłam. Koguta przyniosłam. Psy mnie opadły, ledwie im się wymknęłam. Na wzmiankę o kogucie, lisięta obskoczyły matkę; lisiek poprosił o udko, lisiczka domagała się skrzydełka i dopiero gdy lis zagroził im jamnikiem, który zwabiony hałasem skrada się już pewnie do ich jamy, uspokoili się.
- Słyszałaś, co tu mówiłem? – spytał lis, kiedy lisięta poszły wreszcie spać.
- Słyszałam. I co myślisz zrobić?
- Mam już pewien pomysł. Wywieszę na drzewie nad jamą ogłoszenie, że ponieważ zimy odtąd nie będzie, zwierzęta i ptaki mogą sprzedać u mnie futra i pióra. Napiszę, że płacę najwyższe ceny. Dobre, co?
- Dobre – przyznała lisica.
- A wywieszkę dzieciół mi wykuje – lis zapalił się do swego pomysłu.
- Czekaj, mam tu nawet gdzieś odpowiednią deskę – zerwał się z legowiska.
- Zaraz poszukam.
- Zostaw na razie deskę – powstrzymała go lisica. – Powiedz mi lepiej, na co ci futra i pierze. Nie masz swojego?
- Mam, mam! – skrzywił się lis. – I ja mam futro, i ty masz, i lisięta.
- No więc?

Lis się rozejrzał, mimo że w jamie nikogo obcego nie było, zbliżył pysk do ucha żony i długo coś jej tam szeptał. Gdy skończył, lisica spojrzała na niego z podziwem.

– Aleś ty mądry, mój mężu – pokręciła głową. – Lis z natury jest chytry, ty jednak wszystkie lisy potrafiłbyś przechytrzyć.

– No cóż, ludzie powiadają, że nauka nie idzie w las. A ja wiem, że poszła, bo czegom się nauczył na wsi, u Walentego, przydaje mi się tutaj, w lesie.

– U Walentego? – zdziwiła się lisica. – Nic mi nie mówiłeś.

– Cały rok byłem u niego. Złapał mnie w sidła, żeby jego Kasia miała zabawkę, tak mówił, ale ja tam sobie myślę, że kołnierz chciał ze mnie zrobić...

– Brr! – otrząsnęła się lisica. – Z dwojga złego, już lepiej być zabawką niż kołnierzem.

– Nie minął miesiąc, a już nie byłem w tamtym domu ani zabawką, ani tym bardziej kołnierzem. Byłem mu przyjacielem, ja go nauczyłem swojej lisiej chytrkości, a on mi zdradzał swoje sekrety. Mądry z niego chłop, a przebiegły! Ziemi ma sporo, piękne konie, krowy, barany... I skrzynkę złota w komorze... Wyobraź sobie żono, że kury dla Walentego łapałem – uśmiechnął się pod długim wąsem.

– Nie dla siebie?

– Sam też jadłem, ale czy to można żyć samymi kurami? Walenty dbał o mnie. A to jajeczniczki na kiełbasie podsunął, a to kotlecik schabowy...

– Zjadłbym taki kotlecik – lisica się oblizwała. – No i co? Co z tym Walentym?

– Po roku się rozstaliśmy. Jak ci powiedziałem, był dla mnie przyjacielem i rozumiał, że lisowi wszędzie dobrze, ale w lesie najlepiej. Na skraj lasu mnie odprowadził, ucisnął mu łapę...

– Rękę – poprawiła lisica.

– Rękę. No, a dalej już wiesz. Ożeniłem się z tobą, mamy udane dzieci, do pyska też jest co włożyć, a naszych pięknych futer każdy w lesie nam zazdrości...

Wzmianka o futrach przypomniała lisicy o wywieszce. Zerwała się z legowiska.

– Ja biegnę do dziecięcia, a ty przygotuj deskę! – Zamiotła rudym ogonem i już jej nie było. Za parę minut wróciła z najlepszym w lesie kowalem, który tym razem miał się zabawić w rzeźbiarza.

– Wybacz, że ze snu cię wyrwałem – zaczął lis podsuwając gościowi deskę – ale sprawa jest pilna...

– Skoro pilna...

– Bardzo! Chciałbym, abyś wyrzeźbił mi na tym taki napis – namyślał się przez

chwile. – Zaraz, zaraz! Może tak: „Skupuję futra i pierze. Płacę najwyższe ceny”. Albo nie. Może lepiej wierszem.

– Wierszem łatwiej zapamiętać. To co mam wyrzeźbić?

– Zaraz, zaraz! A gdyby coś takiego: „Każdy ptak i każde zwierzę sprzeda u mnie futra, pierze – niepotrzebne dziś odzienie, po wysokiej, dobrej cenie!”. Może być?

– Czy może?! – lisica była zachwycona. – Wspaniały wiersz! Nie wiedziałam, że jesteś nie tylko mędrce, ale i poetą.

– Wyśmienity wiersz! – wtórował jej dzięcioł. – A na kiedy chciałby pan to mieć?

– Jak najprędzej. Na jutro. Póki mrozy nie przyjdą.

– Więc zima jednak będzie? – zafrasował się dzięcioł.

– Nie, nie, skądże! Wiesz przecież, że ja lubię żartować. Słyszysz zresztą, jak leje. To na jutro, zgoda?

– Będzie na jutro.

Dzięcioł dotrzymał słowa i jeszcze przed południem na dębie, nad lisią jamą, zawisnął piękny szyld, a przed krzakiem jałowca siadł lis czekając na klientów. Deszcz, rzęsy i zimny, padał ciągle, lisowi to jednak nie przeszkadzało, bo miał nad sobą szczelny parasol z dębowych gałęzi.



- Pierwszy zjawił się niedźwiedź.
- Brr! – otrząsnął się, patrząc na lisa spode łba małymi, bystrymi oczkami.
 - Brr! – otrząsnął się raz jeszcze. – Przemokłem do samej skóry. Psia pogoda!
 - Tylko nie psia! – teraz lis się otrząsnął. – Tylko nie psia! Odpukać! – trzy razy machnął ogonem po krzaku. – Nad lisią jamą, panie niedźwiedziu, nie należy o psach wspominać. Nie wypada.
 - Toteż ja nie o psach, tylko o pogodzie – tłumaczył się niedźwiedź. – Że niby, leje jak z cebra.
 - Nic dziwnego, skoro zimy nie będzie. Wypada się, wypada, a potem słońko przygrzeje, ziemię osuszy, przyjdzie wiosna, lato, i tak już stale, rok za rokiem, bez zimy. Inaczej życie nam się ułoży...
 - Właśnie, właśnie! Dlatego też tu przyszedłem. No bo na co mi futro, jeśli zimy nigdy więcej nie będzie. Tak sobie pomyślałem.
 - I słusznie, panie niedźwiedziu. Tym bardziej że u mnie za futro dostanie pan najwyższą cenę. Przeczytał pan ten napis na szyldzie?
 - A jakże! Śliczny wierszyk.
 - Sam ułożyłem – pochwalił się lis. – No to co, ubijemy interes?
 - Zależy, ile pan zapłaci.
 - Muszę najpierw obejrzeć towar – lis wstał, zbliżył się do niedźwiedzia. – Obróć się pan. Tak. Jeszcze trochę, bardziej w lewo...
 - No i...?
 - Lis obszedł go jeszcze raz dookoła, szarpnął za kłaki w jednym, drugim miejscu, przesunął łapą po grzbiecie, po szerokim karku.
 - Futerko, szczerze mówiąc, nietęgę – zaczął po chwili. – Na grzbiecie w trzech miejscach golizną świeci...
 - To jeszcze z zeszłego roku – zawstydził się niedźwiedź. – Psy mi wyszarpały.
 - Przestań pan wreszcie z tymi psami! – zdenerwował się lis.
 - Już nie będę – obiecał niedźwiedź. – No więc, ile dla pana warto?
 - Bo ja wiem...? – zastanawiał się lis. – Mógłbym dać najwyżej dwa garnce miodu.
 - Eeeee! – skrzywił się niedźwiedź.
 - No, niech stracę! Trzy garnce!
 - Eeeee!
 - Cztery garnce! – zakończył targ lis. – Cztery i ani kropli więcej!
 - Niech będzie! Dawaj pan zaliczkę i sprawa załatwiona.
 - Zgoda. Zdejmuj pan futro.

– Nie tak prędko! – niedźwiedź wyprostował się, ostrzegawczo uniósł łapę.
– Nie wiesz, lisie, co mówią o tym prawa leśne? Przypomnę ci. Każdy mieszkaniec lasu – zamruczał uroczyście – jeśli zapragnie zmienić swoją postać, musi w swej starej szacie obejść, czy oblecieć wszystkie zakątki w borze, pokłonić się dębom, bukom i jodłom i najwcześniej po drugim wschodzie słońca dokonać przemiany. Czyż nie tak piszą w Księdze Praw?

– Niby tak – przyznał niechętnie lis.

– No więc? – zapytał niedźwiedź i zaraz oświadczył: – Futro dostaniesz po drugim wschodzie słońca, a teraz dawaj zaliczkę. Może być jeden garniec.

– Masz w co zabrać?

– Zjem na miejscu. No, gdzie masz ten miód?

– W spiżarni – lis poprowadził go do drugiego, szerokiego wejścia, odsunął krzaki maskujące drzwi do komory, zdjął zawieszoną na skoblu kłódkę. – Najpierw pokwitowanie – usiadł przy stole pośrodku obszernej jaskini obstawionej wokół półkami pełnymi wszelakiego dobra i wypisał na kawałku kory: „Ja, niedźwiedź–Miś zobowiązuje się po drugim wschodzie słońca oddać swoje futro lisowi”. – Podpisz.

Niedźwiedź podpisał, a lis podszedł do jednej z półek, przesunął kilka garnków.

– O nie! – powstrzymał go Miś. – Daj z innej półki. Już ja wiem, że w wyszczerbionej fasce masz miód zafałszowany cukrem.

– Za dużo wiesz! – parsknął lis, ale sięgnął po inny garnek. – Masz, żryj na zdrowie.

Niedźwiedź wsadził łapę do garnka, wyjął ją oblepioną miodem, oblizał.

– Uhm, dobre! – zamlaskał. – Uhm, delicje... Prawdziwy rarytas...

– Prędejj, prędejj! – poganiał go lis. – Nie widzisz, że inni czekają?

Niedźwiedź sięgnął znowu do dzbanu, obejrzał się w stronę otwartych drzwi.

– Ważni mi inni – przejechał jęzorem po łapie. – Jeden borsuk i dwa zające.

– Wszystko jedno. Nasz klient, nasz pan. Do widzenia! Do widzenia!

– Mniam, mniam! – niedźwiedź przycisnął dzban do szerokiej piersi. – Resztę zjem na kolację. Do widzenia.

– Do jutra! – przypomniał lis.

– Do pojutra! – odkrzyknął od wejścia Miś.

Ledwie zniknął w krzakach, a na stół pacnęło coś rudego. Lis odskoczył, zamachał ogonem.

– A to co za licho?! – szczechnął wystraszony. – Wiewiórka? Aleś mnie wystraszyła! Czego chcesz?

– Przybiegłam na ratunek. Myślałam, że się pali.
– Gdzie się pali? – lis rozejrzał się niespokojnie. – Co się pali?
– Nic się nie pali – zaśmiała się wiewiórka. – Myślałam. Kręciłeś się, wierciłeś przed jamą, ogonem wywijając, a co chwostem machniesz, to jakby płomień błysnął nad ziemią.
– Przyganiał kociół garnkowi. Alboś to sama nie ruda?
– O, przepraszam! Moje futerko jest koloru dojrzałych kasztanów. Kasz–ta–nów! Rozumiesz? A ty jesteś rudy. Rudzielec!
– Dobrze, dobrze! Ale złaż ze stołu. Nie widziałaś szyldu? Tu jest sklep, moja panno.
– Toteż, mówiąc poważnie, przyszedłam właśnie do sklepu.
– Ty?
– Dziwisz się? A czy to ja gorsza? Też mam futro na sprzedaż.
W krzakach przed komorą zaszeleściło. Słychać było coraz głośniejsze, podniecone głosy.
– Szybciej tam!
– Co za gadanina?!
– Jak długo mamy czekać?
– Mnie się spieszy!
– Słyszysz?! – lis też się niecierpliwił. – Klienci czekają.
– Ja też jestem klientem – wiewiórka nie traciła spokoju. – No, mów coś!
– podskoczyła na stole.
– Utrapienie z tą wiercipiętą – westchnął lis. – Chcesz pewnie zaliczkę, a futro przyniesiesz jutro. Prawa leśne – zacytował złośliwie lis – każą pożegnać się z borem...
– Ano każą. Dawaj zaliczkę!
– Masz tu garść orzechów – lis sypnął orzechami z pękatej faski. – Jutro dostaniesz więcej...
Ledwie wiewiórka zsunęła się ze stołu, do komory wepchnął się borsuk, za nim dwa zające, a z krzaków dobiegło głośne pochrząkiwanie.
– Dzik – mruknął Chytrusek i uśmiechnął się pod wąsem. – Teraz pewnie będzie grzeczniejszy.

Rozdział II

O tym, jak Kłobuk przeklinał swoją paplaninę i jak kot Mruczek pokrzyżował lisowi plany



o drugim wschodzie słońca, kiedy lis Chytrusek czekał w krzakach przed jamą na pierwszych dłużników, zaczął padać śnieg: najpierw ledwie prószył drobnymi igiełkami, ale z każdą chwilą gęstniał, wirował we wzmagającym się wietrze i białą puchatą pierzyną okrywał ziemię, otulał drzewa i krzewy. Ucieszył śnieg lisa, ale i zafrasował. Prawda, że wcześniejsze nadejście zimy przybliżyło realizację jego planów, ale z drugiej strony liczył się z tym, że nie będzie mu łatwo odzyskać należności, że zwierzęta i ptaki będą bronić swych futer i piór. Jeszcze bardziej by się zmartwił, ba, nawet przeraził, gdyby wiedział z czym i z jakimi nowinami zdąża do lasu kot Mruczek.

Drogę przez pola do pierwszych krzaków przebył Mruczek tak szybko, jak gdyby pędziła za nim sfora rozwścieczonych psów. Wiatr zapierał mu oddech, śnieg zalepiał oczy, ale on nie zwalniał biegu i dopiero w lesie zatrzymał się, odsapnął. Przetarł łapkami ślepką, rozejrzał się. Teraz musiał uważać – nie wiedział przecież, pod jakim drzewem bądź w jakim wykrocie przycupnął jego przyjaciel Kłobuk. Zazwyczaj odpoczywał gdzieś na skraju lasu, lubił bowiem patrzeć na wieś, gapić się na ludzi pracujących w polu lub krzątających się w obejściach, liczyć konie, owce i krowy – no i oczywiście rozmyślać, jaką by tu nową psotę wyrazić. Nie były to psoty dokuczliwe, lecz raczej wywołujące wesołość, bo i sam Kłobuk był z natury dobroduszny, lubił się pośmiać, a jak było trzeba, to i pomagał ludziom oraz zwierzętom. Tego dnia jednak ów mały, kosmaty skrzat był bardzo

przygnębiony. Siedział u wejścia do opuszczonej borsuczej jamy, skurczony i jakby zmałały, łapkami zakrył oczy i kiwał fraszobliwie kudłatą główką z dwojgiem sterczących, spiczastych uszu. Mruczek pewnie by go minął, gdyby nie nagłe ciężkie westchnienie, które wydarło się mimo woli z Kłobukowej piersi.

– Czy to ty, Kłobuczku? – Mruczek wsunął łeb pod zwisającą nad jamą gałąź jałowca. – Jak ty wyglądasz?! – zaniepokoił się. – Jak półtora nieszczęścia!

– Jak półtora powiadasz? – Kłobuk wygramolił się z jamy. – Jak dwa, trzy nieszczęścia! Jak cała kopa nieszczęść, najbardziej nieszczęśliwych.

– Ale co ci się stało?

– Nie mnie. I dopiero się stanie. Ptakom i zwierzętom. I kiedy sobie pomyślę, że to wszystko przeze mnie... – zaczął żałośnie pochlipywać. – Że to właśnie ja...

– Czekaj, czekaj! – przerwał Mruczek. – Coś mi zaczyna świtać...

– Co ci świta? – Kłobuk podniósł na niego zażawione oczy.



– Najpierw mów ty – rozkazał Mruczek. – Szybciej, bo może każda chwila jest droga.

– Niewiele tu do mówienia – zaczął ociągając się Kłobuk. – Otóż spotkałem przed paroma dniami sójkę. Była bardzo zmartwiona. Wydała wszystkie pieniądze odłożone na bilet. I w tym roku także, jak zresztą i w poprzednich latach, nie miała za co wyjechać za morze.

– Dziwisz się? Nie znasz sójki?

– Znam i nie dziwię się. Ale tak mnie błagała, tak prosiła o radę, że wreszcie poradziłem jej, aby rozgłosiła po lesie, że w tym roku zimy nie będzie i właśnie dlatego pozostanie w domu. Poradziłem jej jeszcze, żeby mówiła, że to niby od słonka dowiedziała się o tym. No i głupie ptaszysko poleciało z nowiną w las.

– Głupie?! – naskoczył na niego kot. – To ty jesteś głupi! Nim coś powiesz, Kłobuczku, pomyśl, co z tego może wyniknąć!

– Nie pomyślałem – przyznał Kłobuk i jeszcze niżej pochylił swą kosmatą główkę.

– No i co dalej?

– Żle. Lis ogłosił, że skupuje futra i pierze; zwierzęta i ptaki zbiegły się do jego jamy, pobrały zaliczki i właśnie dzisiaj muszą oddać co mają i pozostaną bez okryć. Na śniegu i na mrozie – zaszlochał.

– A nie mogłeś ich uprzedzić, nie mogłeś się przyznać, że to od ciebie wyszło.

– Bałem się – wyszeptał Kłobuk. – Bałem się, że jakąś krzywdę mi zrobią, kiedy się dowiedzą, że z nich zakpiłem. I przeze mnie zamarzną! – chlipną.

– Nie zamarzną – uspokoił go kot. – Ale teraz szybko!

– Dokąd?

– Do lisiej jamy.

– Do lisiej jamy?! Tam już jest pewnie całe zbiegowisko. I aż strach pomyśleć, jaka awantura. Nie, nie, ja tam nie pójdę. Boję się!

– Pójdiesz! – kot szarpnął go za łapkę. – Chodź, chodź, musimy się spieszyć. I nie bój się! Bać, to się będzie lis. I to nie na żarty. A ciebie wytłumaczę.

– I co ty im powiesz? – niepokoił się Kłobuk.

– Usłyszysz! – uciął Mruczek. – Prędej!

Gdy Kłobuk z Mruczkiem zbliżali się do lisiej jamy od strony wsi, z drugiej, od leśniczówki, przedzierał się przez śnieg niedźwiedź Miś.

– Uff! Alem się zgrzał – biadolił. – Że też przez parę godzin takie zasy py nawiało! Co z jednej się wylezie, w drugą się wpada. Uff! I wciąż sypie. Własnego nosa nie widać.

– Zatrzymał się, rozejrzał. – Ta ścieżka nie bardzo mi się podoba. Czyżbym zabłądził! Hop, hop! – zawołał. – Hop. hop!

– Ku-ku! Ku-ku! – usłyszał zaraz nad głową.

– Przynajmniej jedna żywa dusza – ucieszył się. – To ty, kukułko?

– A kto jeszcze umie tak kukać?

– Głupio się zapytałem, przepraszam – spieszył się niedźwiedź. – Powiedz mi, kochana, jak tu się dostać na Dębową Polanę.

– Jeszcze dwa kroki i na nią wejdiesz. Idziesz lisowi futro odnieść?

– A co mam zrobić? – zaryczał rozpaczliwie. – Zaliczkę wziętem, miód zjadłem, zima przyszła, a futro trzeba oddać. Bez futra na kość zmarznę – żałośnie pociągnął nosem.

Nagle z boku trzasnęły gałęzie i niedźwiedź z łoskotem zwałił się w śnieg.

– Co to? – zaryczał.

– Kto tu?! – zawtórował mu gruby głos.

– Czy to pan dzik? Nic nie widać.

– Prawda, że nic nie widać. Czy to może pan niedźwiedź Miś?

– Nie może, ale na pewno. Oj, oj! – zajęczał niedźwiedź. – Zdaje się, że nogę zwichnął. Wpadł pan na mnie jak wilk na jagnię.

– Przepraszam. Najmocniej przepraszam. Sam pan przyznał, że nic nie widać. Naprawdę nogę pan zwichnął?

– Nie wiem. A zresztą, cóż znaczy zwichnięta noga, skoro przyjdzie nam umrzeć. Pan też futro oddaje?

– Niestety. Ale niech pan popatrzy, śnieg przestaje padać!

– Mała pociecha. Mróz będzie większy.

– O, pani też tutaj! – dzik zauważył wiewiórkę. – Pani również odnosi futro?

– Ani myślę!

– Jak to? – zdziwił się niedźwiedź. – A zaliczka?

– Orzechy zjadłam, przyznaję – wiewiórka nie wyglądała na zmartwioną – ale futra nie myślę oddawać. Sprzedałam, bo lis zapewniał, że zimy nie będzie. Oszukał nas i niech teraz do siebie ma pretensję.

Na polanę wyszedł, a właściwie wyskoczył lis. Ślepią mu płonęły, ogonem tłukł o ziemię, a spod nastroszonych wąsów i z wykrzywionego złością pyska błyskały ostre kły, z których ściekała ślina.

– Hola, mościa panno! – warknął z furją. – Mądrała! Cóż ty sobie myślisz? Że prawa nie ma, czy jak? Wzięłaś zaliczkę i albo oddasz orzechy, albo futro.

Wiewiórka nie traciła spokoju.

– Orzechów nie mam, a futra nie oddam, bo bym zmarzła.

– A cóż mnie to obchodzi? – lis mówił już spokojnie. – Mówiłaś, że was oszukałem, a kto śpiewał, żeby sójka sto lat żyła? Kto? Może ja? „Hej, przez sto lat żyj sójko pośród nas!” – zaśpiewał, przedrzeźniając. – Do sójki miejcie pretensje, nie do mnie.

– A gdzie jej szukać – chrząknął dzik. – Mówił mi kret, jeszcze wczoraj wieczorem, że wyprowadziła się ponoć do drugiego lasu. Przebrzydłe ptaszysko!

– Przebrzydłe? – złośliwie zdziwił się lis. – Niemożliwe! A przypomnij sobie dzikowi, jak ją niedawno wychwalałeś.

– No tak, prawda...

– Tak, tak, prawda – głos lisowi stwardniał. – Jak i prawdą jest to, że futra i pióra oddacie. Oddacie, choćbym miał na was komornika posłać!

– Nie tak prędko! – przyhamował go kot, który już dość dawno stał z boku z Kłobukiem i tylko się pilnie przysłuchiwał. – Nie tak prędko! – powtórzył. – Powiedz nam najpierw, o czymś to dziś rano szeptał z Walentym. No, powiedz! Nie wstyź się.

– To nie ma nic do rzeczy – spłoszył się lis.

– Zobaczymy!

– Mów, mów! – kota poparły inne zwierzęta. – Czekamy, co nam powiesz!

– Szybciej!

– Grozicie mi? – lis rozejrzał się niespokojnie; w oczach, przed chwilą jarzących się wściekłością, zamigotał strach. – Ale tu się was zebrało! – przełknął ślinę. – Chyba cały las przyszedł...

– Wszyscy, których oszukałeś – miauknął kot. – Nie chcesz mówić – dobrze. Więc ja wam powiem. Powiedziłeś Walentemu tak: „Kupiłem od zwierząt i od ptaków futra i pierze. Dzisiaj ci je sprzedam. A kiedy przyjdą mrozy i głupie zwierzęta pomarzną, przyjedziesz po mięso wozem, też je kupisz ode mnie i odwieziesz rzeźnikowi do miasta. Zarobimy wszyscy: i ja, i ty, i rzeźnik”.

W gromadzie zahuczało. Lis się chciał cofnąć, ale ze wszystkich stron groziły mu wyciągnięte pazury i szpony. Zakręcił się w kółko, przysiadł na ogonie, zadygotał.

– On ma gorączkę, bredzi – spojrzął zezem na kota. – Sam to wszystko wymyślił... – usiłował się jeszcze bronić.

– Niczego nie wymyślił – z dębu, prosto w środek koliska utworzonego przez zwierzęta, zeskoczył szary wróbelek. – Potrzebny panu jeszcze jeden świadek?



– zwrócił się do lisa. – No to jestem do usług. Ja też słyszałem. Siedziałem na oknie i słyszałem. Na złote ziarna pszenicy przysięgam, że mówię prawdę.

Wrzawa, jaka się teraz podniosła, była tak ogromna, że zakolysały się gałęzie i gęsty mokry śnieg posypał się na zebranych. Ale śnieg nie był im teraz nieprzyjazny. Teraz już mrozu się nie bały. Żądały jedynie sprawiedliwości.

– Precz z lisem!

– Przepędzić zbója!

– Fora z lasu!

– Precz!

Okrzyki potężniały, a do tych z polany przyłączyli się nowo przybyli, zaś z gałęzi nagich drzew na sto głosów darły się rozeżłone ptaki.

– Precz z lasu!

– Precz!

Oszołomiony, drżący ze strachu lis poderwał się i runął w tył, wprost na skłębioną i rozkrzyczaną gromadę, która, o dziwo, rozstała się nagle, zostawiając mu wąskie przejście. Przebiegł nim, a gdy po chwili znowu się pokazał, zwierzęta i ptaki szyderyczy mi, ale i trochę rozbawionymi okrzykami powitały jego oraz biegnącą za nim lisięcą i lisiętą.

– Dalekiej drogi!

– Do–nie–zo–ba–cze–nia!

Polana opustoszała, a że nikt nie był ciekaw, czy sójka sama wymyśliła plotkę, czy ktoś jej podszeptał, Kłobuk nie widział potrzeby, żeby do tego wracać.

– Strach pomyśleć – powiedział Mruczek – co by to było, gdybym się nie zapędził do zagrody Walentego.

– A dlaczegoś się tam zapędził? – zapytał Kłobuk.

– Bo zapędziła się tam mała myszka polna.

– Aha!

Przez pewien czas szli w milczeniu.

– Więc gdyby nie myszka, nie przyszedłbyś do lasu – zaczął Kłobuk, raczej stwierdzając niż pytając.

– Chyba nie.

– I ładnie to o przyjacielu zapomnieć? Chyba z pół roku minęło, kiedy się widzieliśmy – Kłobuk z wyrzutem pokręcił głową.

– A ty nie mogłeś zajrzeć do mnie?

– Nie mogłem – westchnął Kłobuczek. – Stary Smętek, mój pan, dał mi tyle roboty, że nie wiem, od czego zacząć. Trudno mi wyrwać się z lasu.

– A mnie ze wsi, od Michała – Mruczek też westchnął. – Nie wiecie mu się teraz i jest taki smutny, że nie mam serca zostawić go samego. A może byś teraz zaszedł do mnie, do Michała? – kot się zatrzymał i spojrzał prosząco Kłobuczki w oczy. – Chociaż na godzinkę, na pół godziny...

Kłobuk ze smutkiem pokręcił głową.

– Smętek na mnie czeka. Ale nie martw się, za parę miesięcy będę miał więcej czasu. Nawet dzień, nawet dwa dni będziemy mogli być razem.

– Przyjdę do ciebie – obiecał Mruczek. – Powiedz tylko, kiedy.

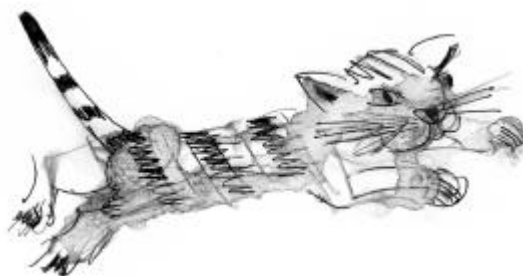
– Kiedy?... kiedy? – zastanawiał się Kłobuk. – No dobrze. Powiedzmy: po świętym Janie. W pierwszy dzień po świętym Janie.

– Zgoda!

Byli już na skraju lasu.

– To do widzenia.

– Do widzenia – podali sobie łapki.



Rozdział III

O tym, jak Kłobuk zimował we młynie



ługo myszkował Kłobuk za suchą i pustą norą w rozpadlinach i gąszczach boru, aby przezimować w niej do wiosny, lecz nigdzie nie mógł odpowiedniej znaleźć. A to nora była wilgotna, a to znowu nie było w niej suchego mchu czy liści, albo już była zajęta przez jakieś zwierzę, które wcześniej znalazło schronienie przed gwałtownymi podmuchami mroźnego śniegu, gdy zima nagle zawitała w te strony.

Kłobuk zmachał się, zasapał, ale odpowiedniego lokum nie znalazł, mimo że od rana przemierzył szmat leśnych wertepów. Nawet wszystkie dziuple w starych drzewach były pozajmowane.

Dawniej, kiedy Kłobuk żył zgodnie ze zwierzętami i ptakami, zawsze z kimś zamieszkiwał, nawet gdy to były dziki taplające się w leśnych bajorach, które nie zamarzały nawet w najcięższe mrozy a topiel parowała bagiennym ciepłem, i było po kłopocie.

Lecz teraz, kiedy złośliwie zadrwił ze wszystkich mieszkańców lasu, nie mógł liczyć na niczyją pobłażliwość. Wszak każde z nich – od niedźwiedzia poczynając, a na mysikróliku kończąc – chciało pozbyć się swego futra czy pierza, kiedy uwierzyły Sójce, że zimy nie będzie, gdy ta rozpaplała tę plotkę usłyszaną od Kłobuka...

Jeszcze teraz przypomina mu się, jak przez las radośnie przebiega i przefruwa kosmata i pierzasta ciżba, a wszystko to śpiewa na różne głosy:

Białowłosa, śnieżna pani,
lodowata, mroźna zima,
nie przekroczy lasu granic,
w chłodzie nas nie będzie trzymać...

Na przypomnienie tej sceny Kłobuk zachichotał złośliwie, ale wnet zamilkł, bo nagle groźnie zaświstał stary Wicher i miotnął puszystym śniegiem na niego, aż musiał się skryć za powalony pień sosny.

– Ach, ależ ze mnie złośliwy drań – skarcił się głośno Kłobuk i skurczył z przejmującego zimna. – Nawet jeź mnie do nory nie przygarnie, chociaż tam ciasno i kolczasto.

I Kłobuk poczuł się nagle tak opuszczony przez wszystkich mieszkańców boru, że już, już postanowił wypowiedzieć swe kłobukowe zaklęcie:

Tu, na Smętka rozkazanie –
W kruka zaraz niech się zmienię...

i poszybować w głąb posępnej kniei – do serca puszczy, gdzie w dziupli potężnego dębu zamieszkiwał jego groźny władca i pan – wiekowy Smętek, aby ten przezimował go w jakimś zakamarku.

Ale wstrzymał się. Bał się Smętka, że ten znowu boleśnie wytarłosi jego kosmate i długie uszy korzeniastymi paluchami za złośliwego figla spletanego zwierzętom.

Długo tulił się i wiercił za pniem sosny, a niewesołe myśli kłębiły mu się w skołatanej łepetynie...

– Mam! Mam już swoje legowisko! – krzyknął Kłobuk głośno, tak głośno i piskliwie, że aż z gałęzi obsunęła się czapa śniegu i przysypała go zupełnie.

Wygramolił się niebawem z zasy, otrzepał jak tylko umiał ze śniegu, a jego mordka drgała radośnie. Przypomniawszy sobie stary młyn nad rzeką Liwą, gdzie młynarzowała skąpa i złośliwa Miłka – córka młynarza Cibora.

Miłka była przeciwieństwem niedawno zmarłego ojca – dobrego, szlachetnego młynarza i zgodnego sąsiada.

A chociaż Miłka była ładną i krzepką dziewczyną, nikt jednak w okolicy jej nie cierpiał ani szanował za jej przebrzydłe sknerstwo i złośliwy charakter.

Nawet taką piosenkę o niej śpiewano:

Miałże młynarz psiekno córke, raz, dwa, trzy,
trzymał że jo w gesio skórke, raz, dwa, trzy.
Chłopcy za nio, jak za panio,
za skórke jo pociongajo, raz, dwa, trzy,
chłopcy za nio, jak za panio,
za skórke jo pociongajo, raz, dwa, trzy.

A gdy skórka z niej-że zlazła, raz, dwa, trzy,
straszna Miłka z niej wylazła, raz, dwa, trzy.
Chłopcy w nogi, uciekajo,
za skórke jo nie ciongajo, raz, dwa, trzy,
chłopcy w nogi, uciekajo,
za skórke jo nie ciongajo, raz, dwa, trzy...



Po prostu, jeszcze się nikt tutaj nie narodził, co by jej dogodził – jak mawiano przysłowiem o niej. Często też bywało, mieszała otręby do mąki mówiąc, że takie kiepskie ziarno przywieziono do zmielenia, albo waga się nie zgadzała, a jak pokrzywdzony upominał się reszty – wrzeszczała nań głośno:

– Fora ze młyna! Jak się nie podoba – niech tutaj nie przychodzi, by mleć mu jego zatechłe ziarno na mąkę!

A przecież zawsze przywożono piękne, złociste ziarno do tutejszego młyna. Każdy też cierpliwie i z pokorą znosił jej złośliwe odzywki, bowiem jak okolica długa i szeroka – nigdzie nie było innego młyna bądź wiatraka. Stąd cicho pomstowano na młynarzową Miłkę:

– Aby cię Kłobuk pokarał, albo woda zabrała!

To właśnie o tym młynie i młynarzowej Miłce przypomniał sobie Kłobuk, kiedy gramolił się z zasy śnieżnej.

– Na pewno mnie przezimuje w ciepłe i dostatku. A może jeszcze poczęstuje jajecznicą z mendla jaj smażoną na boczku? – rozmarzył się Kłobuk, i na samą myśl o jajecznicy zanucił fałszywie piskliwym głosikiem:

Lubię bardzo jajeczniczkę,
może być też na słoninie –
choćbyś dał mi pełną miskę,
to apetyt mi nie minie.

Sypnę srebrem, sypnę złotem,
za kąć w ciepłe przy kominie –
lecz gdy rzucisz we mnie błotem,
wnet i stracisz całe mienie.

Jak postanowił, tak i uczynił.

Określił się Kłobuk wokół siebie, zamamrotał: – Na Smętkowe rozkazanie – niech się w kruka zaraz zmienię! – I z gęstwy leśnej wzbiło się w niebo czarne ptaszysko, które poszybowało w kierunku młyna.

Minęło małowiele, kiedy kruk-Kłobuk był już koło kurnika młynarzowej Miłki i przemieniwszy się ni to w kurę, ni to kuraka – dołączył do stadka kur. Często bowiem przybierał tę postać, aby ludzkie oko nie mogło rozpoznać go wśród ptactwa domowego, a on bez przeszkód mógł zamieszkać w gospodarstwie.

Pierwszą noc Kłobuk przenocował razem z kurami. Ale myśl o wyściełanym gnieździe przy kominie i pachnących workach z mąką nie opuszczała go ani razu we śnie.

Rano wygramolił się z kurami na podwórko – nikt Kłobuka jednak nie poczęstował jajecznicą na boczku, tylko kiepski poślad musiał dziobać z kurami. Bardzo to Kłobuka rozsierdziło, ale nie było innej sposobności na lepsze zimowanie – nikt go nie zaprosił do środka ani po dobroci, ani w złości.

Mijają dni, a Kłobuk wciąż sierzdzi się niemożebnie:

– Jeśli nie dostanę jajecznicy na boczku, to ona mnie popamięta! – I mściwie wymyślał Miłce, która nawet własnym kurom skąpiła na jadle. Lecz wejść do młyna ani do chaty było mu nie wolno bez wyraźnego zaproszenia.

Kłobuk z utęsknieniem czekał na odpowiednią chwilę.

Aż się doczekał...

Pewnego słonecznego ranka, kiedy smukłe sosny iskrzyły się w słońcu pod ciężarem śniegu, przed młyn zajechał sankami ciągnionymi przez cisawego konia – stareńki dziadek. Na sankach przywiózł woreczek zboża na mąkę. I, jak było w zwyczaju, nie czekając na młynarzową Miłkę – z trudem wniósł zboże do wnętrza młyna.

Niestety. Młynarzowa Miłka przyjrzała się lichemu woreczkowi i wrzasnęła gniewnie na staruszkę:

– Ty, stary trutniu! Dlaczegoś nie poczekał na mnie, nim przyjmę tę garść lichego ziarna? Pewnie przywiozłeś zatęchłe zboże, a będziesz żądał pytlowanej mąki, nieprawdaż, stary trutniu?!

– Nieprawda! Przywiozłem ładne, dorodne żyto, ostatni woreczek na mąkę dla dziatki – zaprzeczył nieśmiało dziadek.

– Jeszcze mi zaprzeczasz, stary trutniu! Wiedz, że tutaj jestem ja młynarzową i znam się najlepiej na ziarnie. Na pewno z wierzchu niby ładne ziarno, a na spodzie poślad! – sierzdziła się nadal Miłka. – Mogłeś poczekać na mnie, aż najpierw sprawdzę ten woreczek. To mój młyn!

– Droga jejmościuniu! Zwyczajowo każdy wnosił swe zboże do młyna, więc postąpiłem podobnie... – tłumaczył się staruszek. Ale Miłka wrzasnęła na niego: – Wnosił, wnosił... Teraz ten woreczek wyniesiesz z powrotem! Nie będę męła tego paskudztwa i koniec! Wynoś mi się rychło ze młyna, bo psami poszczuję!

I rzeczywiście, jak na zawołanie, dwa brytany przybiegły i wyszczerzyły groźne kły na dziadka.



– Błagam, jejmościuniu! Niech mi pani zmieli ten woreczek żyta na mąkę dla dzieciaków na chlebek... Nie mam już ani krzty mąki na kluski – prosił nadal uniżenie dziadek młynarkę, ale ta tylko furknęła spódnicami i poszła do chatupy, a za nią podreptały groźne brytany.

Dziadek, rad nierad, z trudnością zniósł z powrotem worek na sanki, złorzecząc okropnie na nieużytą Miłkę:

– Obyś się udławiła własną mąką, ty nielitościwa młynarko! Niech ci woda nie służy, a Kłobuk pokara za moją krzywdę! – I nabrawszy garść zboża z woreczka, rzucił nim na młyńskie kamienie wymawiając złowrogie zaklęcie: – Na te ziarno cię zapraszam Kłobuku złośliwy, za mą krzywdę, za me dzieciaki bądźże teraz mściwy!

Na te zaklęcie czekał właśnie Kłobuk.

Nagle ogromny tuman śniegu zawirował na podwórzu, a kiedy ostatnie płatki śniegu opadły w promieniach słońca – przed młynem nie było nikogo: ani staruszka, ani jego cisawego konika zaprzęgniętego do sanek. Tylko wystraszone stadko kur gdało trwożliwie, a groźne brytany tuliły pod siebie ogony i skomlały przerażliwie, kiedy zaniepokojona Miłka wyjrzała z ganku na podwórko.

– No, no! Cuda się dzieją w biały dzień: ni dziadka, ni kobyłki...

A Kłobuk?

Kłobuk usłyszawszy zaklęcie dziadka, w te pędy przybrał swą zwykłą myszowatą postać i wbiegł w otwarte wrota.

Zamieszkał we młynie.

Wreszcie mógł dowolnie psocić i figlować – wszak taką już miał kłobuczą naturę. A ponieważ był mały i kudłaty, trudno go było nawet w świetle zobaczyć.

W dzień złośliwy Kłobuk ukryty w kącie spał, a w nocy – straszyl. I to już od pierwszej nocy tak dokazał, że nie było chwili spokoju w młynie.

Co raz budziła się wystraszona Miłka i ze zgrozą patrzyła, jak nagle zaczyna się obracać wielkie młyńskie koło, chociaż ani kropla wody nań nie spadła, a puste żarna kamienne tak turkoczą, jakby nie zboże, a rzeczny żwir męły.

A kiedy Miłka wchodziła za dnia do młyna, dostrzegała porozrywane worki z mąką i zbożem. Wieczorami zaś Kłobuk skradał się pod okna chaty i piszczął jak szczur lub wlaził na drzewa w sadzie i udawał tam puszczyka. Często wkradał się przez myśią dziurkę do kuchni i przewracał wiadra, szurał garkami albo uderzał patelnią o żelazny piec. Bywało nieraz, że wlaził do kredensu, gdzie tłukł talerze i kubki.

Przybierał też postać kuny, zakradał się do kurnika i wyjadał wszystkie jajka, co do jednego, iż nazajutrz Miłka znajdowała tylko skorupki po nich.

Oj, ciężko tej zimy zaczęło wieść się młynarzowej Miłce.

Najgorsze były noce, kiedy Kłobuk bezszelestnie wpełzał do sypialni, siadał na jej piersiach i machał ogonem pod nosem, tak że Miłka miała przykre sny i budziła się z lękiem. Nawet któreś nocy przegryzł nogę łóżka i młynarzowa potłuła się nieszczęśliwie.

Daremnie usiłowała Miłka złagodzić psoty wyczyniane przez Kłobuka, bowiem domyślała się, iż wszystko to dzieje się za jego przyczyną. Próżno też szukała po okolicy dziadka, któremu nie zmęła ziarna na mąkę; bo tylko ten mógł wyprowadzić Kłobuka z gospodarstwa, kto go doń wprowadził.

Oj, gorzko żałowała teraz młynarzowa swój niecny postępek, ale nic już nie mogło jej uratować od nieszczęścia...

Kłobuk zaś tak się rozzuchwiał we młynie i gospodarstwie Miłki, że jego wyczyny stały się głośne w okolicy. I coraz mniej gospodarzy zaczęło przywozić swe zboże do zakłętego młyna – bali się złośliwych psot Kłobuka.

Nikt też nie chciał kupić młyna – wszyscy wiedzieli, że tam straszy, chociaż Miłka żądała za niego bardzo niewiele; tak młynarce dokuczył Kłobuk złośliwymi figlami.

Nie wytrzymała Miłka tego nieszczęścia. Któregoś dnia, ukradkiem, opuściła młynarzówkę po cichu – nikt jej nie żałował za jej wszystkie niegodziwości.

A kiedy słońce zaczęło się piąć coraz wyżej na niebo i ogrzewać ciepłymi promieniami ziemię – śniegi stopiły się gwałtownie, a wezbrana rzeka Liwa runęła na zamknięte stawisko; pękła tama pod naporem wody, która zgruchotała młyn do reszty, tylko kamienne żarna ostały się w mulistym nurcie rzeki.

Tak przestał istnieć Miłki młyn – zwany przekornie przez okolicznych gospodarzy Miłym Młynem, którego resztki można do dziś dnia dojrzeć wśród trzciny i tataraków bujnie wyrosłych na tym miejscu.

Przestał wprawdzie istnieć młyn Miłki na rzece Liwie, ale nazwa pozostała – Miłomłyn.

A stało się to za przyczyną psotnego Kłobuka, który chciał przezimować w ciepłym młynie, gdzie suto karmić go miano jajecznicą na boczku, a że stało się tak, jak się stało – znikł Kłobuk, przepadł...

Ale nie przepadła ta opowieść o tym leśnym skrzacie i jego figlach, jakie czynił i czyni nadal ten przekorny stworek o pękatym nosku, kosmatych i długich uszach, i oczach żółtych jak paciorki z bursztynu.

Rozdział IV

O tym, jak Kłobuk otworzył bursztynową szkatułkę i kogo z niej wypuścił



Słoneczny promień, już od dawna wędrujący po izbie, dotarł wreszcie do ławy stojącej koło pieca, na której zwinięty w kłębuszek spał smacznie Mruczek. Pogładził go po łebku, a potem załaskotał w nosek odcinający się białą plamką od czarnego futerka. Kot kichnął i otworzył jedno oko. Cała izba tonęła już w słonecznym blasku, za oknem ćwierkały wróble, a gdzieś – chyba w łopianach pod płotem – rozgdakała się kura.

Pstrokata – pomyślał Mruczek i z naganą poruszył wąsikami. – Ona jedna gardziła kurnikiem, spała na dworze, a jajka zносиła właśnie tam, w łopianach. Nie zmieniła jej obyczajów nawet przygoda z jastrzębiem, która dla Pstrokatki zakończyłaby się tragicznie, gdyby Burek w ostatniej chwili nie spłoszył skrzydlatego drapieżnika. Doigra się – otworzył drugie oko, ziewnął i przeciągnął się, wyginając grzbiet w pałąk i prostując wysunięte do przodu łapki, aż spod czarnego, lśniącego futerka błysnęły ostre pazurki.

Już rozbudzony na dobre kończył poranne mycie, gdy mimo woli zerknął na kalendarz i aż miauknął z wrażenia.

– Przecież to dzisiaj jest dwudziesty piąty czerwca! – stwierdził radośnie podniecony. – Pierwszy dzień po świętym Janie. – Mruczek znał się na kalendarzu. W ogóle uważał się za uczonego kota, jako że przez rok prawie mieszkał w szkole u nauczycielki, nim oddała go Michałowi. Ale gdyby się nawet nie znał, to i tak musiałby wiedzieć, co to za dzień był przedwczoraj, skoro razem z Michałem

i Kasią puszczali wianki na jeziorze. – Tylko przekąszę coś niecoś – zeskoczył na podłogę – i zaraz idę do lasu.

Na zwykłym miejscu, przy nodze od stołu, miski jednak nie było. Rozejrzył się. Zaczął szukać coraz bardziej zniecierpliwiony i coraz bardziej... głodny; tak już bowiem jest, że apetyt wzrasta nie tylko z jedzeniem, ale także z oczekiwaniem na jedzenie. Znalazł ją wreszcie na piecu, ale, niestety, pustą. A przecież Michał nigdy dotąd nie zapomniał napełnić jej po brzegi kaszą ze skwarkami albo wdrobionym do mleka chlebem, albo smażonymi płótkami, które Mruczek tak bardzo lubił.

Aż przysiadł zatroskany koło pustej miski i nagle wszystko zrozumiał. Przecież to właśnie od tych wianków, od rozmowy z Kasią – odeszli wtedy na bok i Mruczek nie chciał im przeszkadzać – młody rybak chodził jak struty. Ani razu do niego nie zagadał, nie pogłaskał, no a dzisiaj zapomniał nawet o jedzeniu.

– No nic, dam sobie radę – poruszył wąsikami i poweselał, bo w porę przypomniał sobie o gnieździe sikorek w niskich krzakach leszczyny, prawie na skraju lasu. O tej porze w gnieździe powinny być młode, do latania jeszcze niezdatne, ale na śniadanie dla kota w sam raz.

Przez okno wyskoczył na podwórze, przeszedł obojętnie obok koguta, który na jego widok łypnął groźnie przekrwionym okiem i wojowniczo potrząsnął grzebieniem, i przez dziurkę w płocie wyszedł na piaszczystą dróżkę; wiła się ona jak szara wstążka wzdłuż jeziora porośniętego tatarakiem i odbijała później w lewo, ku ciemnozielonej ścianie lasu.

Od jeziora niósł się przyjemny chłód i dopiero gdy Mruczek wszedł między drzewa, zrobiło mu się gorąco. Porzucił więc przysypaną igliwiami ścieżkę i zaszył się w gęstą, pachnącą mocno trawę. Była ona tak wysoka, że miejscami całkiem w niej znikał.

Kwitły tu kuliste żółte mleczce, bieleły się stokrotki, wśród kwiatów z przenikłym brzęczeniem uwijały się pszczoły, czasem dostojnie zabuczał trzmiel, przypominający Mruczkowi puszysty, malutki kłębek wełny. Wyciągnął już nawet łapkę, żeby się z nim pobawić, ale się w porę powstrzymał – przekonał się kiedyś, że ten puszysty kłębuszek nie tylko buczy, lecz i potrafi boleśnie użądlić.

Kiedy tak Mruczek wędrował przez łąkę, kosmaty i uszaty leśny skrzat Kłobuk siedział opodal na kamieniu pod bukiem. Wprawdzie kamień był dla niego zbyt twardy, ale gęste liście osłaniały go przed słońcem, a poza tym miał z tego miejsca widok na jezioro i na ścieżkę prowadzącą ze wsi do lasu. Mruczka na ścieżce nie wypatrzył, bo gdy usiadł pod bukiem, Mruczek był już na łące.

Siedział więc Kłobuk na kamieniu, czekając na przyjaciela, gdy nagle wśród traw mignęło mu czarne futerko kota.

– Czemu on się tak skrada? – zastanowił się. – Może chce mnie zaskoczyć? Przestraszyć?... No, to zobaczymy, kto kogo zaskoczy – zachichotał, a potem bezszelestnie zsunął się z kamienia i skrył za bukiem od strony, gdzie rośla leszczyna i gdzie w nisko zawieszonym gnieździe świergotały sikorki. Mruczek wynurzył się wreszcie z gęstej trawy i dotarł do kamienia.

– Jakoś nie widać mojego przyjaciela Kłobuczka – zamruczał zawiedziony. – Powinien tu na mnie czekać, na tym kamieniu pod bukiem. Zawsze się tutaj spotykamy. Może zapomniał? A może nie skończył jeszcze swojej służby u Smętka? No, nic. Poczekam. – Skoczył na kamień. – O, jaki tu przyjemny chłodek... I jaki miły zapach! Niech mnie psy pogonią, jeśli to nie jest zapach młodych sikorek. – Zeskoczył z kamienia, obszedł pień buka – Kłobuk przezornie skrył się głębiej w krzakach – i dojrzał gniazdko.

– Są! Są moje milutkie sikoreczki – ucieszył się Mruczek. – One nawet nie wiedzą, jak bardzo je lubię. Chyba jeszcze bardziej niż kaszę ze słoniną. Muszę zobaczyć, czy ładnie podrosły...

– A to nicpoń! – zdenerwował się Kłobuk, nadal kryjąc się w krzakach.

– Myślałem, że przyszedł do lasu, żeby ze mną się spotkać, a on na ptaszki się wybrał. Czekaj, dam ja ci ptaszki! – Odczekał, aż Mruczek spręży się do skoku i gdy kot był już w górze, łapami prawie sięgając gniazda, jak błyskawica odbił się od drzewa i chwycił go w locie za ogon.

– Miauuuu! – wrzasnął przeraźliwie tak nagle zaskoczony Mruczek. – Puśćże! Boli!

– Na ptaszki się wybrałeś! – zawołał groźnie Kłobuk, ale ogon puścił. – Sikorek ci się zachciało! A wiesz ty, że Smętek zabronił kłusowania w lesie?

– Wiem, wiem – kot lizał obolały ogon. – Ale czemu mi mówisz o kłusowaniu? Ja tylko chciałem te ptaszki policzyć.

– Policzyć! – zaśmiał się Kłobuk. – A kto to mrucał, że bardziej lubi sikorki niż kaszę ze słoniną?

– Bo lubię. Nie wolno mi lubić? Ale nie muszę na nie polować. Sam wiesz, że nie chodzę nigdy głodny, że Michał, mój gospodarz, bardzo dba o mnie. Sam zresztą się przekonasz, bo przecież pójdziesz ze mną. Powiedziałeś, że pójdziesz – przypomniał.

– Pójdę, pójdę – Kłobuczek uspokoił Mruczka.

– To podaj łapkę na zgodę.



Kłobuk podał mu łapkę, ale spojrzał jeszcze na gniazdo.

– Bardzo żeście się wystraszyły? – zapytał.

– Oj, bardzo, bardzo! – Sikorki, które dotąd siedziały cichutko, zmrożone strachem, rozwrzeszczały się wszystkie naraz: – Myślałyśmy, że to już koniec! Wstrętne kocisko!

– Nie mówmy już o tym – skrzywił się Mruczek. – Nieporozumienie. To co? Idziemy? – zwrócił się do Kłobuka.

– Idziemy.

Gdyby ktoś teraz na nich popatrzył, powiedziałby pewnie, że nie była to zbyt dobrana para. Kłobuk ciężko kołysał się na swych kosmatych nogach i pozostawał wciąż w tyle, podczas gdy Mruczek stąpał lekko, sprężystym, równym krokiem. Nie odzywali się do siebie, każdy z nich bowiem był zajęty własnymi myślami. Mruczek był zły, bo nie udało mu się polowanie, był także głodny i zastanawiał się, czy Michał już wrócił z jeziora i czy w domu będzie co jeść. Kłobuk zaś myślał, jakiego by tu figla spłatać przyjacielowi. W czasie służby u Smętka nie miał czasu na psoty i teraz chciał to sobie z nawiązką powetować.

Chociaż nie miał jeszcze żadnego pomysłu, sama myśl o tym wprawiała go w tak dobry humor, że zanucił grubym głosem:

Kota Mruczka lubię bardzo,
ale bardziej jajeczniczkę –
bo Kłobuki nią nie wzgardzą,
choćbyś dał im pełną miskę.

Psot i figli znam ja wiele,
poznać je możecie z bliska –
lecz kto jest mym przyjacielem,
może przy mnie tylko zyskać...

– Akurat! – skrzywił się Mruczek i lekko poruszył obolałym ogonem. – Nie wiem, czy cię będę mógł poczęstować jajeczniczką – powiedział – ale bądź pewien, że coś dobrego dostaniesz. A teraz ani słowa! – ostrzegł, bo dochodzili już do płotu, który tu i ówdzie zazielenił się, bo wrosłe w ziemię wiklinowe pręty wypuściły drobne listeczki.

Mruczek, jak zwykle, dziurą dostał się na podwórko, za nim przecisnął się Kłobuk.

Wokoło było sennie i cicho. Nawet rozćwierkane zazwyczaj wróble skryły się gdzieś przed słonecznym skwarem, kury zaś zagrzebały się w piasku pod wybujałymi łopianami.

Niezdarnemu i leniwemu Kłobukowi odpowiadał ten spokój, nie musiał się bowiem zamieniać w jakąś niepokazną kurę czy mizernego koguta, aby nie zwracać na siebie uwagi gospodarzy i z góry już się cieszył, że będzie mógł do woli buszować po Michałowym domu. A wiemy przecież dobrze, że kosmaty Kłobuczek taką już miał naturę, że musiał wetknąć wszędzie swój perkaty nos, wszystkiego dotknąć, a przed żółtymi i okrągłymi jak paciorki oczkami nic się nie dało ukryć. A jeśli chciał, mógł się stać niewidzialny, wielu też ludzi nie wierzyło w ogóle w jego istnienie. On zaś stał teraz wraz z kotem pod ścianą Michałowego domu, prawdziwy i rzeczywisty, w całej swej kłobukowej okazałości. Dziwne, prawda? A więc powiem wam jeszcze, że nawet najmądrzejsi ludzie – a za takich uważają się filozofowie – przyznają, że są rzeczy, o których nawet im się nie śniło.

– No to co, Kłobuczku, skaczemy? – Mruczek spojrzał w stronę otwartego okna. – Uwaga! Hop! – jednym susem znalazł się na parapecie i zaraz zniknął w głębi mieszkania.

Kłobuk miał mniej szczęścia; za pierwszym razem nie zdążył się chwycić ramy okiennej i spadł ciężko na ziemię.

– Ojej! Ale się potłukłem! – wrzasnął płacząco i począł rozcierać łapkami obolałe siedzenie. – No, trudno. Jeszcze raz spróbuję.

Tym razem się udało; zadyszany, na drżących nóżkach stanął na parapecie.

– Chodź prędzej! – przywołał go Mruczek. – Zajrzałem do miski i wyobraź sobie, że jest pełna smażonych płotek. Dla nas obu wystarczy. Michała nie ma, pewnie poszedł do Kasi, ale rybki dla mnie usmażył.

Kłobuk niezdarnie zsunął się z okna i stanął przy kocie.

– Częstuj się – Mruczek podsunął mu miskę. Obydwaj byli bardzo głodni i po paru minutach w misce nie zostało nawet jednej osteczki. – Dobrze było, co? – kot oblizwał wąsy, zerknął na przyjaciela. – Coś ty taki skrzywiony? Nie smakowało ci?

– Smakowało – Kłobuczek też się oblizwał.

– No więc co?

– Potłukłem się trochę... – przyznał zawstydzony. – Takie skoki, to nie dla mnie.

Rozejrzał się po izbie. – Ho, ho! Ale tu ładnie. I jak czysto. Tatarakiem pachnie i świeżym chlebem. Nawet rumianki stoją w wazoniku na stole... Pewnie dobrą żonę ma ten twój gospodarz.

Mruczek posmutniał.

– Żony to on nie ma – wyjaśnił. – Narzeczoną ma. Katarzynkę. Tylko, że widzisz, jej ojciec nie zgadza się na ślub.

– Dlaczego? Niewydarzony jakiś ten twój Michał?

– Wydarzony! Jeszcze jak wydarzony! W całej wsi nie ma takiego drugiego. Wysoki, przystojny, szeroki w barach. A jaki pracowity, jaki zdatny do rybaczenia!

– A Kasia? Jaka jest Kasia?

– Jak z obrazka. Michał ma włosy czarne jak moje futerko, a Kasia złote jak łan pszenicy. Piękna z nich para, możesz mi uwierzyć.

– No więc czemu...?

– Czemu nie pozwala im się pobrać? Bo dla niego tylko złoto się liczy. Jest najbogatszy w całej wsi i chce dla Kasi bogatego męża. A chytry! A skąpy! Żadnym groszem, żadnym zarobkiem nie pogardzi. Przypomnij sobie tylko, jak to było z futrami i z pierzem.

– Że też go wtedy zwierzęta nie przepędziły ze wsi, tak jak lisa z nory.

– Z lasu mogły przepędzić, ale we wsi władzy nie mają – pouczył go Mruczek.

– Na co się gapisz? – zapytał, widząc, że Kłobuk wlepił ślepkę w półkę nad ławką.



– Na te dzbany i misy. Ale piękne! – pokręcił z zachwytem głową. – Nieczęsto się takie widzi. Nawet jajecznica bez skwarek lepiej smakuje na półmisku malowanym w chabry niż ze skwarkami, ale na zwykłej miseczce. Gdzie on to wszystko kupił?

– Nie kupił, dostał. Po dziadku dostał – wyjaśnił Mruczek. – Jego dziadek był bardzo mądrym i bardzo sławnym rybakiem. Mówią że sam Smętek, twój pan, chętnie z nim gadał i że to on podarował mu tę piękną szkatułkę. Tę, co tam stoi obok czarnego dzbana malowanego w czerwone róże – pokazał łapką. – Jest wyrzeźbiona w bursztynie i zamykana na srebrne wieczko. Piękna, co?

– Piękna – przytaknął Kłobuk.

– A Michałowi dziadek przykazał, aby jej nigdy nie otwierał – mówił dalej kot.

– Ma tylko cieszyć oczy jej pięknnością. Tylko patrzeć.

– A gdyby otworzył?

– Gdyby otworzył, to stałoby się nieszczęście. Gdzie ty leziesz?! – krzyknął, bo Kłobuk postawił na ławie stołeczek, wgramolił się na ławę, z ławy na stołek i sięgnął po szkatułkę.

– Zostaw!

– Czemuś się tak rozsierdził? – Kłobuk nawet się nie obejrzał na kota. – Zobaczę tylko, jak pięknie i zmyślnie jest wyrzeźbiona. Ho, ho, ho! Co za cudaczne stworki – zaśmiał się przybliżając i oddalając od oczu szkatułkę. – A jakie piękne ma wieczko... Całe ze srebra i kluczyki też ze srebra.

– Zostaw kluczyki! – prychnął Mruczek już nie na żarty zaniepokojony manipulacjami Kłobuka przy szkatułce. – Zostaw, powiadam!

– Spokojnie, Mruczku, spokojnie... – Kłobuk nie przejmował się zdenerwowaniem przyjaciela. – Szkatułce nic się nie stanie, jeśli się jej dokładnie przyjrzę...

– Postaw ją z powrotem na półce, ty niegodziwcze! Nie darmo nazywają cię psotnym lichem.

– Ładnie to tak brzydko mnie przezywać? – Kłobuczek dalej obracał w łapkach szkatułkę.

– Tylko nie waż się jej otwierać! – kot aż odskoczył, bo właśnie w tej chwili Kłobuk zacisnął łapkę na kluczyku. Siłą nie chciał odbierać mu szkatułki, bo bał się, że w szamotaninie może upaść i rozbić się.

– Otworzę ją tylko na chwileczkę, żeby zobaczyć, jaka jest w środku – przekręcił kluczyk, a Mruczkowi futerko zjeżyło się ze strachu, kiedy zobaczył, jak spod uchylonego wieczka wydobywa się gęstniejący, czarny dym, który wkrótce wypełnił

całą kuchnię. Nie czekał, co będzie dalej, tylko czmychnął przez okno. A Kłobuk, choć mu nie dziwne były różne cudaczne stwory, patrzył z przerażeniem, jak z dymu wyłania się jakaś straszna maskara.

– Kto... kto ty jesteś? – wybełkotał.

– Chi, chi, chi! – zarechotało straszydło. – Nie znasz mnie? To mnie poznasz! Zła Dola, do usług, mości Kłobuczku. Jestem ci wdzięczna za to, żeś mnie wypuścił z tej przeklętej szkatułki. Nie pamiętam nawet, ile to lat przesiedziałam tam z woli Smętka, twego pana – leśnego bożka. A teraz sobie pohulam nad polami, jeziorami, lasami! Hej, pohulam, pohulam na złą dolę dla ludzi, na złą dolę dla zwierząt!

Kłobuk z przerażeniem patrzył na wirującą po izbie groźną postać, która krzywiła do niego złą gębę, co, jak się domyślał, miało oznaczać radosny uśmiech. Sam więc także wykrzywił mordkę i poprosił, jak umiał najgrzeczniej:

– Wejdz lepiej do szkatułki, Zła Dolo. Wejdz, ja bardzo cię proszę, bo mi za tę psotę Smętek nie tylko uszy oberwie, ale i głowę ukręci.

– Chi, chi, chi! – zaśmiała się Zła Dola. – Dobryś sobie, Kłobuczku! To ja tyle lat tęskniłam do tej chwili, żeby teraz, gdy wreszcie jestem wolna, wracać do szkatułki?! Żartujesz chyba, Kłobuczku. Szukaj wiatru w polu, a jak go spotkasz, to prędzej jego niż mnie nakłonisz, żeby wlaź do Smętkowej szkatułki. A tobie niech twój pan obrywa uszy. Głowę też może ci ukręcić! – zachichotała i znów zawirowała wokół izby, świszcząc przeraźliwie:

Jestem Dola, Dola Zła!
Krzywdzę wszystkich aż do cna!
Tu coś spalę, tu zatopię,
tu znów pod kimś dół wykopię!
Jestem Dola, Dola Zła!
Krzywdzę wszystkich aż do cna!
Tu coś złamię, tam coś zniszczę,
tu zostawię tylko zgliszcze!
Jestem Dola, Dola Zła!
Krzywdzę wszystkich aż do cna!
W domu, w polu, w zimie, w lecie
wciąż przy sobie mnie znajdziecie!

I tak śpiewając swym świszczącym, dzikim głosem i okrążając Kłobuka w szalonym tańcu, zobaczyła nagle otwarte okno. Zatrzymała się w miejscu i wrzasnęła radośnie:

– Hej, w świat! Nad pola i jeziora! Na nieszczęście ludziom, na zagładę zwierzętom, na zgubę drzewom i krzewom! Hej, w świat, w świat – i nim Kłobuk zrozumiał, co się stało, już jej nie było w izbie.

I on nie miał już tu czego szukać. Wspiął się na okno, zeskoczył do ogródka i przez dziurę w płocie wy dostał się na ścieżkę do lasu.

Niewesoła, oj niewesoła była ta droga powrotna. Wolał nie myśleć o spotkaniu ze Smętkiem, wolał nie wyobrażać sobie, co powie i co zrobi, kiedy się dowie, że on, Kłobuk, jego niegodny służka, złamał rozkaz swego pana i wypuścił na świat Złą Dolę.



Rozdział V

O tym, jaką karę Smętek dla Kłobuka wymyślił



lókł się Kłobuk przez las i pogrążony w niewesołych myślach nie zwracał uwagi na radujące go zazwyczaj piękno leśnego uroczyska. A przecież było się czym zachwycać. Wysmukłe sosny kołysały dostojnie iglastymi czubami, białe brzozy szeleściły zielonymi serduszkami liści, a poniżej mieniły się kolorowe różnorodne krzewy, tak gęste i przemieszane ze sobą, że trudno było rozróżnić poszczególne gatunki. Wysokie trawy i pachnące zioła zarastały ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, bo tylko one chadzały tędy do jeziora.

Ciężko było na sercu Kłobukowi, który zazwyczaj niefrasobliwie lekceważył wszelkie niebezpieczeństwa, a planując kolejne psoty nigdy nie myślał o skutkach, jakie mogą wywołać. Mordkę miał teraz smutną i brzydką; coś tam mrucał pod perkatym noskiem i wzdychał tak głośno, że przestraszona sroka narobiła ogromnego wrzasku, lękając się o całość swego gniazda zawieszzonego w gałęziach głogu.

– No i czemuś się tak rozdarła?! – Kłobuk ze złością zakrył łapkami swoje długie, oklapnięte uszy. – Że też takie małe, czarno-białe lichy może tak głośno skrzeczeć! Nie znasz mnie, czy co?

– Znam, pewnie, że znam! – sroka podskoczyła na gałęzi. – Nie widziałam cię w trawie i sądziłam, że to lis się skrada. Musiałam przed nim ostrzec.

– Lis? Skąd tutaj lis? Zapomniałaś, że lisa już dawno wypędzono z lasu.

– Sama go też przepędziłam. A nie mógł wrócić?

– Pewnie, że nie mógł! Już on wie dobrze, czym to by mu groziło.

– Po lisie wszystkiego można się spodziewać. Taki jak on...

– Nie gadaj tyle. Ty też nie jesteś niewiniątkiem.

– Patrzcie go! – sroka znowu rozdarła się na cały las. – Mnie ubliża, a co sam wyprawia! Czemu to wypuściłeś Złą Dolę z bursztynowej szkatułki? No powiedz, czemu? – skrzeczała coraz głośniej. – Teraz o nieszczęście łatwiej niż kiedyś. Muszę bez przerwy czuwać nad moimi pisklętami i uważać, aby wyrosły na przyzwoite sroki.

– No już dobrze, dobrze – uspokajał ją Kłobuk. – Przestań na mnie krzyczeć. Znasz mnie przecież i musisz przyznać, że krzywdy wam nigdy nie uczyniłem.

– To prawda, że nie uczyniłeś. Dotąd nie uczyniłeś. Bo teraz zaszкодziłeś nam wszystkim wypuszczając Złą Dolę – błysnęła na niego czarnym okiem i odfrunęła do gniazda w gąszcz ciernistych głógów.

Kłobuk posmutniał jeszcze bardziej, kiedy dowiedział się od sroki, że już powszechnie wiadomo o jego niefortunnej przygodzie z bursztynową szkatułką. Wlókł się dalej powoli, przedzierając się przez trawy i krzaki, i nawet przez myśl mu nie przeszło, że może, na przykład, przemienić się w kruka czy sokoła, wzbić się ponad drzewa i w parę minut znaleźć się przed Smętkiem. A może i pomyślał o tym, ale czy to miał się do czego spieszyć?

Lazł więc noga za nogą i lamentował głośno:

– Oj, co to będzie, co to będzie?! Jak ja się wytłumaczę przed Smętkiem z tej psoty? Oj, powyciąga on mi uszy, powyciąga! Żeby tylko głowę zostawił na swoim miejscu... Po co ja wypuściłem tę Złą Dolę, przecież tak miło i przyjemnie było w tych lasach i wioskach. Ludzie żyli szczęśliwi...

– Ale czy wszyscy? – aż przystanął, podrapał się w kosmatą głowę. – Wszyscy, to nie – odpowiedział sam sobie. – Michał na pewno się smucił, że mu ojciec Kasi nie chce jej oddać. No, tak – ruszył dalej. – Michał się martwi, ale jajecznicą na wędzonym boczkum pewnie by poczęstował. Och, jak ja lubię jajecznicę! – oblizał się i zaraz pociągnął nosem. – Oj, da mi Smętek jajeczniczkę! Żeby choć głowę zostawił na swoim miejscu, o uszy już nie stoję – niech je tarmosi. I niech z lasu nie wygania. No, bo gdzie się ja, biedny, podzieję? Nikt mnie nie kocha – rozżalił się jeszcze bardziej – to i pod swój dach nie przyjmie, nie nakarmi... – znowu przystanął, a że tuż przed sobą dostrzegł mały liściasty wzgórek, pomyślał, że dobrze byłoby na nim przysiąść i kapkę odpocząć.

Jeszcze nie zdążył się dobrze usadowić, gdy poczuł ostry, kłujący ból.

– Ratunku! – poderwał się z wrzaskiem chwytając się jednocześnie łapkami za siedzenie!

Wzgórek też się poruszył i wyrzwał z niego mały ryjek.

– Gdzie siadasz, niedojdo?! – fuknął gniewnie jeż; jego to bowiem Kłobuk wziął za wzgórek. – Nie można się choć chwilę zdrzemnąć, żeby jakiegoś nicponia lichy nie przyniosło! Na kamieniu trzeba było usiąść, nie na mnie! – Jeż się zasapał ze złości, a widząc, że Kłobuczek śmiesznie podryguje i usiłuje niezdarnie powyciągać z ciała igielki, wykrzywił ucieszenie ryjek. – Wyglądasz teraz jak poduszczeńka na igły.

– Nie dość, że mnie pokłuteś, to jeszcze się ze mnie śmiejesz – Kłobuczek ze łzami w ślepkach wyciągał igły. – Nawet w lesie nie można się czuć bezpiecznie. I nawet ty na mnie fukasz w nieszczęściu, chociaż naprzynosiłem ci niemało owadów i owoców, kiedy byłeś głodny...

– Ty mówisz o nieszczęściu, ty! – Jeż nie pozostawał mu dłużny. – A kto wypuścił Złą Dolę z dziadkowej szkatułki? No, kto?

– To i ty już o tym wiesz?

– Wszyscy wiedzą. Zapomniałeś o ptasim telegrafie? Zasłużyłeś na codzienne klucie i to przez wszystkie jeże w lesie. Nie ma krzty rozsądku w tej twojej kosmatej łepetynie. Myślisz tylko o tym, jakiego by tu figla spletać ludziom czy zwierzętom, no i masz – doigrałeś się!



Kłobuk nie usiłował się tłumaczyć. Wiedział dobrze, że tym razem przebrał miarę.
– Miej nade mną choć odrobinę litości – powiedział płaczliwie. – Dość, że mnie Smętek ukarze.

– A niech cię ukarze. I to surowo! – Jeż ani myślał współczuć Kłobukowi, a odwracając się chrząknął na pożegnanie: – Życzę ci krętej ścieżki – schował ryjek pod siebie i zwinął się w iglasty kłębuszek.

Obolały i markotny ruszył Kłobuk dalej. Nie cieszyły go ani pachnące dzwoneczki konwalii, ani miękki kobierzec mchu uginający się sprężysto pod nogami. Nic. Szedł postępując i łapiąc się raz po raz za bolące miejsca. Nie zainteresował się stadkiem saren przebiegających tuż obok niego ani dzikami taplającymi się w małym bajorku nie opodal ścieżki. Leśne odgłosy nie docierały do skołatanej głowy Kłobuka, a przecież zawsze wszystkiego był ciekaw, nie darmo przecież był leśnym skrzatem, a las – jego domem.

Raptem potknął się o wystający korzeń sosny i łapiąc równowagę zamachał łapkami, potrącając przy tym zwisające z sęka osie gniazdo. Natychmiast osy wysypały się ze swego kulistego domku i bzycząc groźnie zaczęły krążyć wokół sosny wypatrując intruza, który ośmielił się zakłócić ich poobiednią drzemkę.

Bzyk, bzyk, bzyk –
jesteśmy złe osy!
Bzyk, bzyk, bzyk –
pokłujemy nosy!

– groziły, krążąc wciąż wokół sosny.

Wkrótce spostrzegły kosmatego stwora, który słysząc ich brzęczenie skrył się pod paprocie. Ruszyły więc do ataku z wysuniętymi groźnie żądlami.

Bzyk, bzyk, bzyk –
wszyscy nas się boją!
Bzyk, bzyk, bzyk –
żądlą naszą bronią!

– krążyły tuż–tuż nad nim, a Kłobuk, struchlały ze strachu zapomniał, że zna przecież zaklęcia chroniące przed żądlami. Wrzeszcząc oganiał się przed napastnikami, a one żądliły go, gdzie popadło.

– Ratujcie mnie! Ratujcie! – krzyczał Kłobuk umykając, ile sił w nogach, byle jak najdalej od sosny. – Już nie będę psocił ani wściubiał nosa nie do swojego prosa! A niech was, owadziska przebrzydłe! – opędzał się niezdarnie, aż wreszcie ostatkiem sił dopadł do opuszczonej lisiej jamy i stoczył się w dół. Osy wprawdzie już go nie goniły, ale jeszcze kilkakrotnie okrążyły jamę, a odlatując zabzykały triumfalnie:

Bzyk, bzyk, bzyk –
niech no ktoś nas ruszy!
Bzyk, bzyk, bzyk –
wnet mu spuchną uszy!

I rzeczywiście! Kłobukowe uszy były godne politowania – całe pożądłone, potwornie spuchnięte. Gdy się wygramolił wreszcie z lisiej jamy, zaraz narwał bobkowych liści i zaczął nimi obkładać najbardziej pokłute miejsca: przede wszystkim nos i uszy.

– Oj, dolo, moja dolo! – jęczał turlając się na mchu pod brzoźkami, aż żał było patrzeć i słuchać. – A wszystko to przez tego kota Mruczka – narzekał. – Prawdę powiadają ludzie, że kiedy kot przebiegnie drogę, można spodziewać się nieszczęścia. A ile to razy Mruczek przebiegł mi drogę, kiedy szliśmy do zagrody Michała?!

Przystanął na chwilę, powtórnie obłożył nos i uszy świeżymi liśćmi i poczłapał dalej, wciąż wyrzekając:

– Oj, dolo, moja dolo! Cały jestem pokłuty! A przecież to ja kiedyś zachęcałem osy do ataku i byłem ogromnie rad, gdy ktoś przed nimi uciekał. Tak, tak, to prawda, że gdy ktoś pod kimś dołki kopie, to sam w nie wpada...

W miarę jak oddalał się od polanki ze starą sosną i z osim gniazdem, las stawał się coraz bardziej dziki, posępny i niedostępny. Leżały tu powalone przez wichry i burze potężne świerki i mocarne buki, a nawet i dęby – zmurszałe, okrutnie potrzaskane i pokaleczone. Ścielący się dokoła półmrok i przejmująca wilgoć mówiły Kłobukowi, że zbliża się do serca puszczy. Jakoż i ujrzał po chwili potężny, stary dąb, a w nim wielką dziuplę.

Jeszcze bardziej zwolnił kroku, a świadomość, że stanie zaraz przed groźnym obliczem swego pana, zjeżyła mu włosy na głowie.

Stanął przed dębem, klasnął w dłonie.



– A gdzieżeś się to wałęsał tyle czasu? – Smętek wychylił się z dziupli. – Pewnie znów nabroiłeś, i to nielicho! No mów, mów. Nie balesz się psocić, miej odwagę przyznać się do swoich grzechów.

Jakając się i pochlipując opowiedział Kłobuk swoją przygodę ze szkatułką. Smętek mu nie przerywał, ale gdy wreszcie przemówił, jego głos był potężniejszy od odgłosów burzy, która się właśnie zerwała.

– Nicponiu! Głupcze obmierzły! – grzmiał rozsierdzony. – Wypuściłeś Złą Dolę! Złą Dolę mazurską...

Kłobuk, mimo że na wpół żywy ze strachu, nastawił uszu.

– Powiedziałeś: „mazurską”?

– Jedną z mazurskich.

– To są jeszcze inne?

– Tyle co krain, miast i wsi. Tyle, co lasów i jezior, ba, tyle co ludzi...

– A więc tak to wygląda! Nie wiedziałem – Kłobuk, niemalże wtulony dotąd w ziemię, podniósł głowę i wyprostował się. – I o co tyle hałas? Jedna mniej, jedna więcej...

– Milcz, błaznie! – Smętek wychylił się z dziupli i chwycił Kłobuka za ucho. – Patrzcie go, jeszcze się stawia! To prawda, że wiele jest tych paskudnic – mówił już spokojniej, ale Kłobukowego ucha nie wypuszczał – co nie znaczy, że jeśli jedną z nich udało się unieszkodliwić, można ją wypuścić. Zrozumiałeś?! – targnął go mocniej.

– Oj, tak, tak! Zrozumiałem!

– To rozumiesz także, że choć po części musisz naprawić zło, jakie wyrządziłeś.

– Naprawię! Przysięgam, że naprawię. Tylko puśćcie już moje ucho!

– Pójdiesz teraz do ludzi – Smętek mówił wolniutko, jak gdyby chciał, aby każde słowo nie przeszło mimo uszu, lecz mocno zapadło w Kłobukową duszę – i będziesz im służył tak długo, aż zapomną o twoich psotach. Będziesz im pomagał przezwyciężyć i pokonać Złą Dolę.

– A można ją pokonać?

– Można. A najgroźniejszą bronią, bronią której Zła Dola najbardziej się boi – jest dobre serce, uczciwość, szlachetność, wrażliwość na troski bliźnich. Zrozumiałeś?

– Tak, tak! – Kłobuk wykrzyknął to prawie że radośnie, bo Smętek nareszcie puścił jego ucho. – Zrozumiałem! I już złego słowa o mnie nie usłyszycie!

– Chciałbym w to wierzyć – Smętek cofnął się w głąb dziupli. – A jeśli mnie jeszcze raz zawiedziesz – głos głucho zadudnił z wnętrza dębu – to możesz

być pewien, że odejdziesz stąd bez uszu! – zabrzmiało to jak groźne ostrzeżenie, i nie gołosłowne.

Tak też to napomnienie przyjął Kłobuk, bo mimo woli podniósł łapki i dotknął głowy, ale przekonawszy się, że uszy – choć nieco nadwerżone – są na swoim miejscu, podniesiony na duchu i rad, że tylko na tym skończyło się spotkanie ze Smętkiem – tą samą ścieżką wracał do wioski.



Rozdział VI

O tym, jak Kłobuk pognębił Walentego i uszczęśliwił Kasię i Michała



a przy mie kamieni pod sosną na skraju lasu siedział pyzaty Wiatr i patrzył znudzony na zielone łąki, na jezioro i na leżące w oddali zagrody, złocące się w słońcu słomianymi strzechami. Czekał tylko okazji, by zerwać się i poszumieć między gałęziami drzew, krzewami i kwiatami.

Już zamierzał skoczyć w rosnące koło karczmy jabłonie, kiedy z gęstwiny jeżyn wyczołgał się zasapany Kłobuk.

– Hej, witam cię, Kłobuczku! – zawołał rad ze spotkania, ale widząc niepewną minę przyjaciela, zapytał: – Stało się coś? A może Smętek na służbę do chłopca cię wysłał? No, przyznaj się.

– O, zaraz na służbę! – obruszył się Kłobuk. – Jak sam zechcę, to pójdę. I nikt mi nie będzie rozkazywał. Czy to mnie nie znasz, Wietrze?

– Pewnie, że znam – roześmiał się Wiatr. – Jako kłamczucha i urwipołcia. A pytam, bo nietęgo wyglądasz. Oczy podpuchnięte, uszy oklapnięte...

– Też byś tak wyglądał, gdyby cię osy pokłuły – odburknął Kłobuk.

– Zdarza się! – Wiatr gwizdnął niefrasobliwie. – Głowa do góry, przyjacielu. Chcesz, to zaraz się zabawimy.

– W co?

– No proszę, od razu odżyłeś. Widzisz te obrusy suszące się na łące?

– Przecież nie jestem ślepy. A czyje to obrusy?

– Kasi.

Kłobuk poczuł się trochę nieswojo. Przypomniał sobie przykazanie Smętka, że ma naprawić szkody, pomagać ludziom i zapomnieć o psotach.

– Oj, niedobrze – mruknął pod nosem.

– Co ty tam mruczysz? – Wiatr dmuchnął, rozwichrzył mu kosmatą czuprynę.

– Nie chcesz się bawić...?

– Chcę, chcę! – Kłobuk już zapomniał o przyrzeczeniu danym Smętkowi.

– Pewnie, że chcę się bawić, tylko że jeszcze nie wiem w co.

– Zrób sobie z trzciny kropidło – tłumaczył mu Wiatr – i zraszaj te obrusy tak obficie, jak tylko możesz. A ja je będę suszył. I zobaczymy, kto wygra: czy ty je prędzej zmoczysz, czy ja je prędzej wysuszę.

– Zgoda! – ucieszył się Kłobuk. – Zaraz będę gotów. – Porwał jakiś dzbanek zatknięty na najbliższym płocie, ukręcił ogromny wiecheć z włochatych trzciny i zaczerpnąwszy wody z jeziora stanął przed Wiatrem.

– Zaczynamy! – krzyknął Wiatr

– Zaczynamy! – odkrzyknął Kłobuk i zaczął kropić obrusy wodą z dzbanka, a wiatr je wysuszał nadymając policzki.

Szybko zabrakło Kłobukowi wody. Pobiegł więc co tchu do jeziora, zaczerpnął znowu pełny dzbanek i zaczął od nowa skrapiać obrusy, a Wiatr na nie dmuchał. Wiatrowi pomagało słońce, zalewając łąkę potokiem złotych promieni, toteż kiedy Kłobuk po raz dziesiąty chyba wracał od jeziora z dzbankiem – obrusy były suchuteńkie i lśniły osłepiającą bielą. A Wiatr? Wiatr turlał się w trawie ze śmiechu.

Kłobuk znieruchomiał z dzbankiem w łapkach.

– No i z czego się śmiejesz? – spytał zaczepnie. – Nie wiadomo jeszcze, kto będzie górą.

– Oj, Kłobuczku, Kłobuczku! – Wiatr krztusił się ze śmiechu. – Zażartowałem sobie z ciebie, bo wiem, że lubisz psie figle płać ludziom, a rzadko kiedy uczynisz coś pożytecznego. No, a tym razem mimo woli zrobiłeś dobrą robotę. Ucieszy się Kasia, kiedy zobaczy tak ładnie wybielone obrusy.

Kłobukowi zmarszczyła się mordka ze złości.

– Toś ty taki przyjaciel?! Bawisz się moim kosztem?

– No, nie złość się – uspakajał go Wiatr. – Złość piękności szkodzi. Przejrzyj się w wodzie, Kłobuczku, to sam zobaczysz, jak ci się mordka ze złości wykrzywiła. A że i tak nie masz pięknej buzi, więc kiedy się złościsz, wyglądasz jak strach na wróble.

– Nie daruję ci tego figla, nie daruję! – Kłobuczek rzucił na trawę dzbanek i mokry wiecheć.

– No, rozchmurz się! Już nie będę się z ciebie śmiał. A teraz na zgodę zagram ci coś ładnego na moim flecie, tylko przestań się dąsać. – Wiatr wyjął zza pazuchy niewielki instrument, przyłożył do ust i zaczął grać. Jednocześnie w okazałym domu obok karczmy otworzyły się drzwi i w progu stanęła Kasia – smutna i zapłakana.

Kiedy usłyszała melodię wygrywaną przez Wiatr, zaśpiewała do wtóru fletowi:

Z tamtej strony jeziora
stoi lipka zielona.
A na tej lipce, na tej przy ruczaju
trzej ptaszki śpiewają.
Trzej ptaszki śpiewają.

Jak ja nie mam smutną być,
kiedy nie mam twoją być.
Gdy moje serce, serce me zranione
nie ma kogo przytulić.
Nie ma kogo przytulić.

Kasia śpiewała tak pięknie, a zarazem smutnie, że Wiatr aż się rozczulił; zamilkł i tylko echo niosło ten Kasiny śpiew hen, daleko przez wieś, zapewne aż do domu Michała.

Kłobuk także się wzruszył, przestał się dąsać i przyznał się do przegranej.

– No cóż, wygrałeś. A teraz żegnaj, Wietrze. Przypomniałeś mi o rozkazaniu Smętka. Czas, bym się zabrał do roboty.

Podał Kłobuk Wiatrowi swą kosmatą łapkę, skrzywił mordkę w grymasie, który miał oznaczać uśmiech, okręcił się trzy razy, wymamrotał jakieś zaklęcia i przemienił się ni to w paskudnego koguta, ni to w zmokłą kurę i w tej postaci poczłapał na ptasich łapach w stronę Kasinego domu.

A Wiatr?

Wiatr zerknął na ni to kurę, ni to koguta, który przed chwilą był Kłobukiem, roześmiał się i smyrgnął w stronę sadu z takim świstem, tak posuwiście, że sosny aż zaszumiały z uznaniem i zakofały się lekko, a pod rozświetlonym niebem rozniósł się daleko ich żywiczny zapach.

Kasia stała na ganku z żałośnie opuszczoną głową. A miała czemu się smucić. Ojciec uparł się, żeby ją wydać za obcego, złego człowieka i nie było sposobu,



aby od tego go odwieść. I wystarczyło, żeby wspomniała o Michale, a stawał się bardziej opryskliwy i dokuczliwy.

Zapłakane dziewczę westchnęło więc tylko sobie i poszło zebrać obrusy z łąki. Nie ucieszyła jej, aż bijąca w oczy, niepokalana biel płótna, nie zauważyła też dziwnego ptaka skulonego przy płocie. A wracając do domu zanuciła żałośnie:

Wysoko, daleko listeczek na klonie –
któż mnie pożałuje w tej dalekiej stronie?
Matka mi pomarła, nie polubił ojciec –
chce wydać za zbója za złote czerwońce.

Nie pójde za zbója, choć to ojca wola –
pójde skoczyć na dno zimnego jeziora,
pójde skoczyć na dno zimnego jeziora.

Ledwie Kasia zniknęła za drzwiami, Kłobuk przelażł na podwórze. Rozejrzał się. Było pusto i cicho. A najgorsze, że nie kręciło się tu nic z drobiu – nic, co by gda-kało, grzebało w ziemi, czy piało. Zafrasował się. Zazwyczaj, jak teraz, przemieniał się w wyleniałą kurę, dołączał do reszty ptactwa i czuł się od razu zadomowiony. Zadumał się...

– No tak, ta sztuczka się nie uda, oj nie – stwierdził z wyrzutem patrząc na kur-nik, gdzie drzemały zapewne kury zmęczone upałem. – Skoro nie mogę być kurą, muszę stać się kimś innym.

Zatrzepotał skrzydłami, zakręcił się wkoło i zagdakał rozkazująco:

– Na Smętkowe zawołanie niech się dziadkiem zaraz stanę!

I oto już koło płotu stoi zgarbiony, siwobrody dziadek, w zgrzebnej kapocie, z parcianą sakwą na ramieniu i z kosturem w garści.

Stanął przed drzwiami, zapukał.

– Otwarte – usłyszał miły głos Kasi.

Pchnął drzwi i wszedł do kuchni. Dziewczyna siedziała pod oknem i przędła wełnę na kołowrotku.

– Pozdrowiony niech będzie ten dom i jego mieszkańcy – dziadek skłonił się nisko.

– I wy będziecie pozdrowieni, dziadku. Spocznijcie na ławie – przestała praść, spojrziała ciekawie na gościa. – Z daleka idziecie?

– Z daleka – dziadek skinął głową. – Wiele dni... – urwał, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i do izby wszedł Walenty.

– Witajcie, gospodarzu – dziadek skłonił głowę, ale tamten tylko coś mruknął i zaraz ostrym tonem zwrócił się do Kasi:

– Wieczera gotowa?

– Gotowa, ojcie. – Podeszła do pieca i wyjęła miskę kartofli, którą postawiła na stole. Rozłożyła talerze i zaprosiła gościa: – Zjedzcie z nami, dziadku. Niczym innym nie mogę was poczęstować, ale czym chata bogata...

– Dziękuję, dziękuję serdecznie. – Dziadek siadł do stołu, ale nie w smak mu były jałowe ziemniaki. – Słoniną wędzoną pachnie... – pociągnął nosem.

Kasia już się miała usprawiedliwiać, lecz ojciec ją uprzedził:

– Może i pachnie, ale pieniądz też pachnie. Na sprzedaż wędzę.

– I mleka też nie macie? – zdziwił się dziadek.

– Mleko też pieniądze! – Walenty równie opryskliwie skwitował pytanie Kłobuka. – Niekraszone ziemniaki na wieczerzę wystarczą.

Oj, kiepska to kolacja – pomyślał Kłobuk–dziadek, ale że był głodny, miskę wyskrobał do czysta. I o jajecznicy nawet nie ma co marzyć – westchnął odkładając łyżkę. – A przenocować gospodarzu, pozwolicie? – zapytał pokornie.

– Na ławie, za opłatą – burknął Walenty.

– Niech będzie za opłatą – zgodził się dziadek. – Zapłacę, co się należy; zdrony jestem wielce... – wysupłał z sakwy złoty pieniążek i wręczając go chytrusowi, pomyślał: – Czekaj, ty stary skąpcze, już ja cię nauczę rozumu! Tak ci zapłacę za gościnę, że długo mnie popamiętasz.

Kiedy gospodarz wyszedł do izby, a Kasia do komory, dziadek legł na ławie. Było mu twardo i za wąsko, kręcił się i stękał, aż zerknąwszy na drzwi, za którymi zniknął gospodarz, ujrzał światło sączące się spod szczeliny nad podłogę. Wstał cichutko, zajrzał przez dziurkę od klucza i aż cmoknął ze zdziwienia.

– A to sknera – pokiwał głową, układając się znowu na ławie. – Kasi skąpi jadła, a sam ma skrzynię pełną złota. Ciekawym, skąd on je ma. Muszę mu się dobrać do tej pękatej skrzyni – postanowił i z tym postanowieniem wreszcie zasnął.

Rankiem, wraz z pierwszym promieniem słońca, do kuchni weszła zapłakana Kasia.

– Cóż to cię gnębi, dziewczeczko – zatroskał się dziadek. – Powiedz, może mógłbym ci pomóc.

Kasia rozszlochała się.

– Mnie już nikt nie pomoże – załamano rączki. – Ojciec chce mnie wydać staremu hersztowi rozbójników. Nawet pieniądze już za mnie wziął. A ja... ja...
– rozszlochała się jeszcze bardziej – ja kocham tylko Michała. – I powiedziała dziadkowi smutną historię ich nieszczęśliwej miłości. – I tak to z nami jest – zakończyła z płaczem.

– Cichaj, Kasiu, cichaj! – uspokajał ją Kłobuczek. – Już ja coś takiego wymyślę, żebyście mogli być szczęśliwi. Moja w tym głowa.

– Na pewno pomożecie, dziadku? – zapytała przez łzy.

– A coś myślała? Jeżeli już Kłob... – ugryzł się w język. – Jeżeli już dziadek coś powie, można mu uwierzyć. Czeka tu na mnie, a ja skryję się w krzaku bzu pod domem i będę miał oko na wszystko, co tu może się zdarzyć. Czeka na mnie! Powtórzył i wymknął się na dwór.

– Będę czekała – zawołała za nim Kasia. Usiadła przy kołowrotku i przedząc zanuciła:

Któż mnie dziś wybawi od nieszczęścia tego –
nie zobaczę pewnie mojego miłego.
Matka mi pomarła, nie polubił ojciec,
chce wydać za zbója za złote czerwonce...

Nagle otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł herszt rozbójników, a za nim Walenty. Kasi aż dech zaparło na widok tego obmierzłego przybysza. Wyglądał okropnie: ogromny, zarośnięty na całej gębie, ze zmierzwioną, niechlujną brodą, na jednym oku miał brudną opaskę zasłaniającą prawie połowę poznaczonej bliznami twarzy, u boku kołysała mu się szabla w pochwie wysadzanej klejnotami, a za pasem tkwiły dwa pistolety.

– Tutaj masz resztę złota! – zahuczał basem, rzucając na stół spory woreczek.
– Teraz już twoja córka należy do mnie!

– Tylko do ciebie – Walenty spojrzał poządlawie na woreczek ze złotem. – A ty – zwrócił się do Kasi – masz iść ze swoim panem. I to ci jeszcze powiem na drogę, że nie jesteś moją córką. Ja cię tylko wychowałem, a żeś mnie drogo kosztowała, to złoto słusznie mi się należy. – Złapał Kasię za ramię i popchnął w kierunku zbója.

– Nie, nie! – Kasia usiłowała się wyrwać. – Nie sprzedawaj mnie temu zbójowi! O Boże, Boże! Czy nikt mnie nie uwolni z tych zbójckich rąk?!

Walenty nie zważając na jej rozpaczliwe wołanie, nadal ją popychał ku zbójowi obserwującemu tę scenę ze wzdorliwym uśmiechem.

– No, na co czekasz? Bierz ją! A ty nie wrzeszcz, bo i tak nikt ci nie pomoże!
– Walenty podniósł rękę, żeby uderzyć dziewczynę, gdy nagle w drzwiach stanął dziadek. A wyglądał tak groźnie, że Walentemu ręka opadła i mimo woli zadygotał ze strachu. Dziadek zaś wycelował palcem w herszta i wypowiedział zaklęcie:

– W porem zjawił się akurat, by zamienić herszta w szczura!

Wszyscy znieruchomieli przerażeni i tylko herszt zamieniony w szczura smygnął w kąt, szukając kryjówki przed ludźmi.

Pierwszy spod dziadkowego uroku wyzwolił się Walenty i nie bacząc już na dziwy i czary, rzucił się ku stołu. Rozdygotanymi palcami rozsypał woreczek; po podłodze posypały się kamyczki i żelazne obrzynki. Z pasją cisnął woreczek, skoczył do izby i dopadł do skrzynki ze złotem.

Dziadek mrugnął wesoło do Kasi, podszedł do okna.

– Hej, Michale – wychylił się. – A choćże tu do nas! Szybciej, szybciej!



Michałowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wbiegł do kuchni, przypadł do Kasi, mocno i serdecznie przytulił ją do piersi. Teraz dziadek zwrócił się do gospodarza, który kurczowo obejmował skrzynkę ze złotem.

– Jeśli oddasz Michałowi Kasię za żonę – powiedział – zostawię ci tę skrzynkę. Możesz zachować sobie to złoto, któreś umiłował nade wszystko i które ci już serce wystudziło do cna. No to co, zgoda?

– Zgoda, zgoda! – gospodarz nadal obłapiał skrzynkę. – Niechże ją bierze za żonę. Niech bierze! Mogę im nawet pobłogosławić.

– Niepotrzebne im twoje błogosławieństwo – przyhamował go Kłobuk. – A wy – zwrócił się do młodych – podejdźcie do mnie. Oto masz, Kasiu, swego ukochanego, a ty, Michale, swą umiłowaną dziewczynę – położył im dłonie na głowach. – Niech wam się szczęści w życiu. A ten koń, co tam stoi na dworze, co to na nim herszt przyjechał po ciebie, Kasiu, to dla was. Mój podarunek ślubny.

Młodzi byli radzi z konia, ale nieporównanie bardziej z siebie; trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i nie zauważyli nawet, że dziadek Kłobuk zniknął.

Pierwsza spostrzegła to Kasia.

– A gdzież to nasz dobrodziej? – rozejrzała się po kuchni. – Jakby pod ziemię się zapadł...

– A może to był leśny skrzat Kłobuk? – zastanawiał się Michał. – Może to on nam pomoże?... Tak czy inaczej, lepiej uchodźmy z tego domu. Pójdiesz do mnie, damy na zapowiedzi, weźmiemy ślub... Dobrze mówię?...

– Oj, dobrze, dobrze! – Kasia pokiwała radośnie złotowłosą główką.

Wzięli się za ręce i wyszli z domu, w którym Kasia tyle łez wylała.

Wysoko, pod błękitnym, rozstłonecznionym niebem ulatywały skowronki, mieniły się białymi i różowymi kwiatami jabłonie i wiśnie, a pośród nich uwijały się brzęczące pszczoły. W Michale odezwała się jego pogodna natura i zaśpiewał wesoło:

Oj, jakżeż ja mam wędrować?

Będą się ludzie dziwować!

Da, dana, da! Da, dana, da!

Będą się ludzie dziwować.

Kasi też zrobiło się radośnie i lekko na sercu, toteż zaraz zawtórowała Michałowi:

Zielona ruta, modry kwiat,
wędruj dziewczeczko, ze mną w świat,
Da, dana, da! Da, dana, da!
Wędruj dziewczeczko, ze mną w świat!

A ludzie istotnie się dziwowali i patrzyli za nimi z wielkim ukontentowaniem, bo wiedzieli o ich nieszczęśliwej miłości. I widząc teraz ich razem idących przez wieś, przesyłali im uśmiechy i pozdrowienia. Oni zaś, ciesząc się sobą i przyjaźni dla wszystkich, śpiewali:

Oj, niech się ludzie dziwują,
że młodzi razem wędrują.
Da, dana, da! Da, dana, da!
że młodzi razem wędrują!

Zła dola już nam nie groźna,
uśmieć się tylko z niej można!
Da, dana, da! Da, dana, da!
Uśmieć się tylko z niej można!

Śpiew ich niosło echo daleko ponad falami jeziora, a Wiatr wtórował im cichutko na swym złotym flecie, siedząc na przyzbie kamieni i czekając powrotu Kłobuka.



Rozdział VII

W którym Kłobuk, po służbie u Michała, przyjmuje swą zwykłą postać



oczekał się wreszcie Wiatr powrotu Kłobuka. A kiedy leśny skrzat opowiedział mu już o wszystkim, co wydarzyło się we wsi, zaszyli się obaj w leśnych ostępach i buszowali beztrudnie przez kilka tygodni w towarzystwie zwierząt i ptaków. Przyszedł jednak czas, że należało skończyć z zabawami. Wiatr odleciał zapylać zboża i kwiaty, a Kłobuk poczłapał pod chatę Michała, aby sprawdzić, jak im się wiedzie. Wspomniał bowiem Smętka i uszyścięły mu z trwogi, jak gdyby znów usłyszał groźny głos swego pana: „Pójdiesz do ludzi i będziesz naprawiał zło wyrządzone przez Złą Dole, którą wypuścił z bursztynowej szkatułki!”.

Na to wspomnienie przekorny stworek przybrał postać kuraka, stanął pod płotem i rozejrzał się po obejściu. Kasia pielęła grządki pod jabłonią i gruszą, a obok niej leniwie przechadzał się kot Mruczek, mruczając swoje kocie pacierze.

– A, jest ten łobuz! – nastroszył się Kłobuk. – To przecież przez niego muszę teraz zostać parobkiem, aby zmasać winę. No nic, jeszcze się z nim porachuję!

Mruczek, jakby coś wyczuwając, spojrzął w jego stronę, ale Kłobuk wymamrotał te swoje „czary–mary” i kot nic nie spostrzegł ani nic nie wywęszył.

– Coś nie widzę Michała – stwierdził po chwili Kłobuk. – Gdzie też on się podziewa? W zagrodzie go nie ma, na jezioro nie mógł wypłynąć, bo mu Zła Dola zatopiła rybacką łódź... Pewnie jest na polu... – domyślił się.

Począł za dom. Michał istotnie był na polu. Chodził po zagonach i wybierał kamienie, które układał w pryzmy na miedzy. Jego pole było bardzo kamieniste i w tym stanie nie nadawało się pod zasiewy.

– Uff! Ale będzie harówka! – zafrasował się Kłobuk, lecz przypominając sobie Smętka przestał się ociągać. – Nie ma na co czekać – orzekł – tylko trzeba przemienić się w parobka i poszukać pracy u Michała.

Okręcił się wkoło, wyrzekł swe zwykłe zaklęcie i oto w tej samej chwili przed płotem stanął rośli, młody parobek o szczerzej wesołej twarzy i grzecznie kłaniał się Kasi:

– Witam pięknie, pani gospodyni. Z daleka jestem i noclegu szukam.

– Dzień dobry, młody wędrowcze. Ano ława w alkierzu wolna, słoma na posłanie się znajdzie i choć to nie to co pierzyna, przespać się można. Serdecznie was zapraszam – otworzyła furtkę i zaprosiła do domu.

Jeszcze się dobrze nie rozsiadł, kiedy wszedł Michał. Kłobuk poderwał się.

– Witam, witam gospodarza! Widzę, żeście mocno zmordowani robotą w polu.

– Jeszcze jak! – potwierdził Michał. – Takie to kamieniste pole przypadło Kasi w wianie. A że ja dotąd rybaczyłem, tom niezwyczajny tej roboty i trochę nieskładnie mi idzie.



– To weźcie mnie do pomocy – zaproponował Kłobuk.
– A ino! – roześmiał się Michał. – Nie taki ze mnie gospodarz, żeby parobka brać. Dopiero na dorobku jesteście z Kasią – wyjaśnił.
– To nic – nalegał Kłobuk. – Zapłaty nie potrzebuję, byle dach nad głową i mi-ska strawy. Własnego domu nie mam, a wyście mi oboje do serca przypadli.
Michał jeszcze się wahał, ale propozycja gościa była nie do pogardzenia.
– No cóż, Kasiu? – zwrócił się do żony. – Jeśli nie ma rodziny ani gdzie mieszkać, to może...
– Ależ oczywiście! – Kasia przerwała Michałowi. – Nie ma o czym mówić. Możecie tutaj mieszkać i zapewniam was, że będziemy ze sobą żyli zgodnie i sprawiedliwie. A teraz proszę do stołu.
Po znakomitym rosole i smażonym linie z kapustą i ziemniakami, do którego Kasia postawiła jeszcze po kuflu domowego piwa, Kłobuk poczuł się wreszcie syty i gotów do pracy.
– Pięknie dziękuję za smaczny obiadek! – poderwał się z ławy. – A teraz chodźmy na pole. Nie ma czasu na próżnowanie.
Kłobuk tak się uwijał, że nie minęły dwa dzionki i wszystkie kamienie były wzbierane.
Dziwi się Michał, ale nic nie mówi.
Człowiek to czy czarodziej – myśli – ale robotnik nad podziw. Nie ma co, dobrze trafiłem.
Na trzeci dzień Kłobuk powiada:
– Przeprowadźcie gospodarzu konia z wozem, to zwieziemy kamienie i zbudujemy z nich oborę.
– Jednym koniem chyba nie damy rady – powątpiewał Michał. – Za dużo kamieni. A do tego koń zgubił podkowy.
– No to pójdę z nim do kowala – zdecydował Kłobuk. – A wy gospodarzu odpocznijcie sobie kapkę.
Wracał już Kłobuk z kuźni z solidnie podkutym koniem, kiedy posłyszał gromkie okrzyki:
– Wio! Wio! A żeby was wilki zjadły! A wy pokraki zatracone! Wio! Wio!
Zbliżył się do zakrętu i zobaczył zaprzężoną w cztery konie karecę; aż po osie ugrzęzła w błocie.
– Hej, ludzie! – zawołał ze złośliwą uciechą. – A cóż to za liche konie, że nie potrafią pociągnąć takiego pudełka. A może to nie konie, tylko kozy?

Z karety wychylił się jakiś strojny pan.

- Zamiast gadać, mógłbyś lepiej pomóc, człowieku – krzyknął gniewnie.
- No, rusz się. Sowiec cię wynagrodzę.
- Liche konie, powiadasz? – woźnica spojrzął pogardliwie na Michałowego kasztanka. – A twoja chabeta, niby mocniejsza?
- Pewnie, że mocniejsza. Wyprzęgaj swoje konie, a ja moją chabetą karocę wyciągnę.
- A jak nie wyciągniesz, to co? – zapytał jegomość z karety.
- To mi wlepisz sto bizunów. A jeżeli wyciągnę, jeden gniady będzie mój. Zgoda? Strojny pan chwilę pomyślał, ale że zapadał zmrok, a konie dalej szarpały się daremnie z kareta, skinął głową.
- Niech i tak będzie, tylko się pospiesz, człowieku!

Woźnica zeskoczył z kozła i wyprzągnął swoje gniadosze, a Kłobuk zaprzęgnął swego kasztanka, podparł kareta z tyłu i gromko na konia krzyknął.

- No, no, no? – dziwił się pan. – Skąd masz takiego silnego konia. Mocniejszy od mojej czwórki.
- Ano mocniejszy – przyznał Kłobuk, otrzepując dłonie. – A teraz jeden gniady mój.

Pan w cylindrze mocno się skrzywił, ale cóż, obiecał przecież. A jak powiada przysłowie: skoro się rzekło – kobyłka u płotu, więc kiwnął tylko głową, że się zgadza. Kłobuk podszedł do koni, coś tam pomamrotał i najroślejszy gniadosz ruszył posłusznie za kasztankiem, aż wystraszeni podróżni tylko się przeżegnali; woźnica śmignął batem na konie i kareta zniknęła za następnym zakrętem.

Michał aż usta rozdziawił, kiedy ujrzał, jak parobek wprowadza na podwórze dwa konie.

- A skądżeś ty wziął tego gniadosza? – zapytał, kiedy odzyskał mowę.
- Skoro mamy wspólnie gospodarzyć, to się wam przyznam – odpowiedział Kłobuk. – To mój koń. Przyda się.
- Pewnie, że się przyda – przytaknął Michał. – Tylko czym je przez zimę wykarzymy? Ledwie dla kasztanka siana starczy. A gdzie stajnia?

Kłobuk tylko się zaśmiał.

- Co się martwicie, gospodarzu? Poradzimy sobie. Stajnię mamy przecież zbudować z zebranych kamieni. Nieco ją powiększymy i starczy miejsca i na koniki, i na bydłatka. A o siano już ja się postaram. Zwieziemy najpierw kamienie, a potem będzie czas pomyśleć o sianie na zimę.

Tych kamieni to było tyle, że nie jedną, a dwie stajnie można było z nich pobudować. Więc na kolację uradowana Kasia, że ma takiego robotnego i zapobiegliwego parobka, usmażyła jajecznicę na boczku i to aż z mendla jajek.

Uradowało to tak Kłobuka, że zaśpiewał Kasi żartobliwą piosenkę:

Przyszedł Jonek do Katryнки
i ją molestuje:
daj, Katryńko, mi raz gamby,
bo dobrze smakuje –
daj, Katryńko, mi raz gamby,
bo dobrze smakuje...

Kasia nie pozostała mu dłużną i też zanuciła:

Oj, nie wierza, żeby całus
miał dobrze smakować:
a jak raz byś posmakował,
wciąż byś chcioł całować,
a jak raz byś posmakował,
wciąż byś chcioł całować...

A że wszystkim było radośnie na duszy – śmiechu i przekomarzań było tego wieczoru co niemiara.

W krótkim czasie w rogu podwórza stanęła zgrabna, duża stajnia z kamieni, kryta czerwoną dachówką i kiedy ta czerwień odbijała się w jeziorze, Michał już nie tęsknił do wypływania na połowy – całym sercem polubił swoją gospodarke.

W kilka tygodni później Kłobuk oświadczył gospodarzowi:

– Pora pomyśleć o sianie. Pójdę, rozejrzę się, może zdobędę gdzieś nieco.

I zaraz po śniadaniu wyszedł z domu. A że stał się już prawdziwym, mazurskim parobkiem, podśpiewywał sobie po drodze znaną piosenkę:

Stoji łoset kiele drogi, to kolonce ziele –
nie rozmawiaj Mazurecko z Mazurem za wiele,
nie rozmawiaj Mazurecko z Mazurem za wiele.



Bo kawalir, wielka szelma, Boga się nie boi –
nadaremno sia przysiengo, o duse nie stoi
nadaremno sia przysiengo, o duse nie stoi...

Jeszcze nie dokończył piosenki, gdy ujrzał duże gospodarstwo rozłożone na skraju lasu. Był tu już kiedyś i zapamiętał, że zła i skąpa gospodyni odmówiła mu wtedy nawet kromki suchego chleba. Postanowił to sobie teraz odbić.

Ledwie wszedł na podwórko, a już dopadły go ogromne psiska i jęły zawzięcie rwać mu nogawki od portek.

– O, wciórności! – wrzasnął Kłobuk. – A poszły wy do budy!

Usłyszawszy ujadanie psów, gospodyni wybiegła z domu i zaczęła wołać na parobków:

– O rety! Lechu! Grzechu! Psy uwiązujcie. Znowu jakiemuś człowiekowi portki poszarpały.

Kiedy parobcy psy uwiązali, Kłobuk nisko pokłonił się gospodyni i powiedział przymilnie:

– Ja do łaski gospodyni się wpraszam...

– A wedle czego! – kobieta naburmuszyła się i zacisnęła surowo usta.

– Wedle siana – skłonił się jeszcze niżej Kłobuk, zerkając przy tym wymownie na potargane nogawki. – Wedle siana, jejmościuniu. O kapkę jeno proszę. Tyle mi dacie, co na barki wezmę.

– Siana chcecie? – zachnęła się gospodyni, aż zafurkotały jej szerokie spódnice i przechylił czepek na głowie. – A toć ja sama mam tyle, co dla moich bydłatek.

Ależ sknera z tej gospodyni – myśli Kłobuk. – Ma tyle stogów na łące, a lichej wiązki skąpi i głośno powiada:

– Jejmościuniu! Ja ino kapkę. Tyle co na plecy. Odrobinę przy wykopkach. A te wasze psy, jak widzicie, na nic mi portki poszarpały...

Gospodyni zaczyna w myślach rachować i wyszło, że nowe portki kosztowałyby znacznie więcej, niż wiązka siana.

– No, dobrze – ustąpiła niechętnie. – Bierzcie, ale tylko tyle, co na plecy. O, z tego pierwszego, największego stogu, co na skraju łąki.

– Może być z tego pierwszego – zgodził się łaskawie Kłobuk. Pokłonił się gospodyni uniżenie, podszedł do stogu, okręcił się trzy razy, zamamrotał coś pod nosem i... zarzucił sobie cały stóg na plecy!

Gospodyni aż się zatrzęsała ze zgrozy.

– Lechu! Grzechu! – rozdarła się rozpaczliwie. – Nie dawajta, aby tyle dobra wynosił. Cały stóg siana! – biadoliła. – Lechu! Grzechu! Byka na niego wypuście!

Wystraszeni parobcy wpadli do obory i, jak im gospodyni przykazała, wypuścili na Kłobuka rozjuszonego byka.

Pędzi byk na Kłobuka aż ziemia drży, a ten coś znowu mamrocze pod nosem, łapie byka za rogi i zarzuca sobie na drugie ramię z taką łatwością, jakoby to było małe cielętko.

– Hej, stójże człowieku! – rzuciła się gospodyni do Kłobuka. – Niechże już siano przepadnie, ale byka mi zostaw! Tyle pieniędzy kosztował! – Ręce rozkłada, szarpie go za ramię.

– Ja tam nie złodziej – Kłobuk wzruszył mocno obciążonymi ramionami.

– Napadł na mnie, to i go poskromiłem. Ale jeśli wam jejmościuniu tak na nim zależy, to, po dobroci, dajcie mi za niego jałoweczkę. O tę, co się tam pasie. Inaczej byka nie oddam. Po dobroci, gosposiu, wam radzę.

– O rety, czekajcie! – załamała się skąpa gospodyni. – Bierzcie już jałoweczkę, byście tylko byka zostawili! Straciłam tyle siana, niech i jałowkę stracę. – I patrzy błagalnie na Kłobuka.

– A ja to nie straciłem? Nogawki straciłem – przypomniał Kłobuk. – Ale niech tam! Dziękuję za siano. Dziękuję też za jałowkę. I jeszcze to wam powiem, że kto po dobroci skąpi, to jak już pójdzie na udry dwa razy tyle straci! Do zobaczenia miła jejmościuniu.

I Kłobuk jak powiedział, tak uczynił, zdjął z ramienia potulnego jak cielętko byka, zarzucił jałowkę i ruszył do domu nucąc ulubioną piosenkę:

Stoi łoset kiele drogi, to kolonce ziele –
nie rozmawiaj Mazurecko z Mazurem za wiele,
nie rozmawiaj Mazurecko z Mazurem za wiele...

Kiedy Kasia i Michał zobaczyli parobka wracającego z takim dobytkiem na ramionach, oczom nie chcieli wierzyć!

– O rety, ale cuda! – wykrzykiwali. – Ale dziwy nad dziwami!

Słyszając te wydziwiania, kot Mruczek zeskoczył z ławy stojącej przy piecu, wyszedł z domu, ale najpierw tylko głowę wychylił zza węgła, a później podszedł już bliżej do wciąż dziwujących się gospodarzy.

Kłobuk tymczasem zrzucił siano koło nowo wybudowanej stajni, wpuścił jałowkę do zagrody i powiedział wesoło:

– Może to i cuda, alem się dobrze sprawił, więc należy mi się jajecznicza na boczku, choćby z mendla jajek...

Kasia w te pędy pobiegła do kuchni, skąd rychło doszły do nich kuszące zapachy. A kiedy Kłobuk smakowicie zjadł pełny talerz jajeczniczy i popił domowym piwem, powiedział uroczyście:

– Moi mili gospodarze. Wszystkie te cuda i dziwy robiłem dla was, a to dlatego, że Smętek – mój prawieczny pan i władca – tak mi przykazał. Musiałem wynagrodzić wszystkie moje figle i psoty, jakie dotychczas uczyniłem. Przecież to przeze mnie i ty, Michale, straciłeś łódź i sieci. Na wasze i nie tylko wasze nieszczęście, wypuściłem Złą Dolę mazurską z bursztynowej szkatułki, którą ci kiedyś, Michale, twój dziadek zostawił. A że robiłem teraz, co mogłem, mała w tym moja zasługa... Życie teraz w szczęściu i miłości w tej pięknej, mazurskiej krainie. Może, jak w baśni i legendzie, znów się spotkamy na jawie...

Okręcił się dwa razy, ale nim po raz trzeci się okręcił – kot zdążył się jeszcze z nim umówić na następne spotkanie w lesie.

No i zniknął, przepadł Kłobuczek, choć nie przepadły te wszystkie dobra, którymi w czasie swej służby obdarzył Kasię i Michała.

Jak też nie przepadły w ludzkiej pamięci te wszystkie opowieści o leśnym, psotnym skrzacie – Kłobuku.

A jeżeli kiedyś spotkacie go na przepięknych mazurskich szlakach – Młodzi Czytelnicy – to pamiętajcie, że uwielbia jajecznicę na boczku, nawet niech będzie z mendla jajek usmażona; a kiedy go poczęstujecie, na pewno odwdzięczy wam się stokrotnie, jeżeli nie – spleta wam tęgiego figła.

O czym solennie przekonany jest autor, który te opowieści zebrał, uzupełnił i po-
dał do druku na podstawie wielu ludowych pieśni i legend z Krainy Tysiąca Jezior.



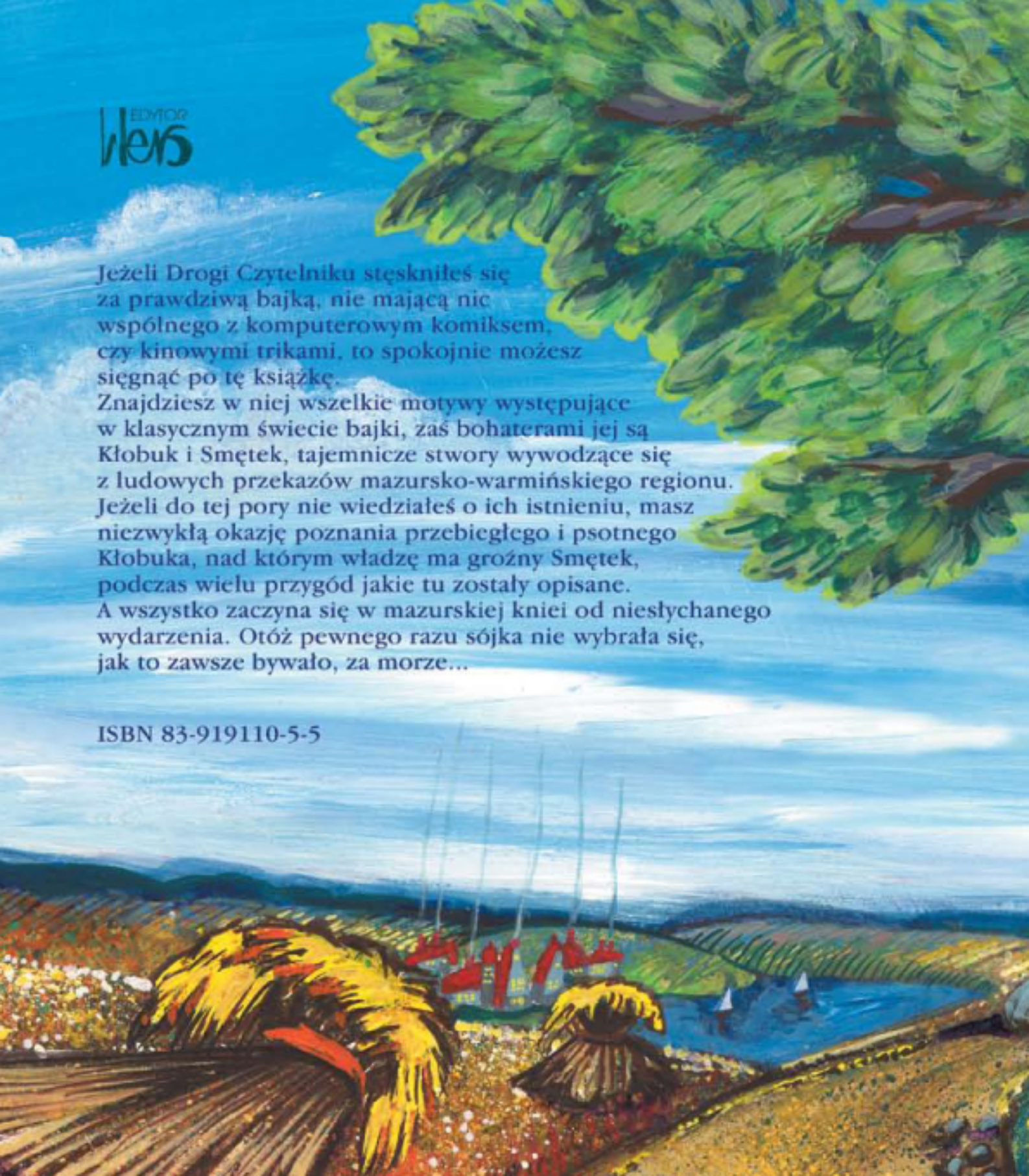
SPIS TREŚCI

Rozdział I	
O tym, dlaczego sójka za morze się nie wybrała	7
Rozdział II	
O tym, jak Kłobuk przeklinał swoją paplaninę i jak kot Mruczek pokrzyżował lisowi plany	18
Rozdział III	
O tym, jak Kłobuk zimował we młynie	26
Rozdział IV	
O tym, jak Kłobuk otworzył bursztynową szkatułkę i kogo z niej wypuścił	34
Rozdział V	
O tym, jaką karę Smętek dla Kłobuka wymyślił	44
Rozdział VI	
O tym, jak Kłobuk pognębił Walentego i uszczęśliwił Kasię i Michała	52
Rozdział VII	
W którym Kłobuk, po służbie u Michała, przyjmuje swą zwykłą postać	62









Jeżeli Drogi Czytelniku stęskniłeś się za prawdziwą bajką, nie mającą nic wspólnego z komputerowym komiksem, czy kinowymi trikami, to spokojnie możesz sięgnąć po tę książkę.

Znajdziesz w niej wszelkie motywy występujące w klasycznym świecie bajki, zaś bohaterami jej są Kłobuk i Smętek, tajemnicze stwory wywodzące się z ludowych przekazów mazursko-warمیńskiego regionu. Jeżeli do tej pory nie wiedziałeś o ich istnieniu, masz niezwykłą okazję poznania przebiegłego i psotnego Kłobuka, nad którym władzę ma groźny Smętek, podczas wielu przygód jakie tu zostały opisane. A wszystko zaczyna się w mazurskiej kniei od niesłychanego wydarzenia. Otóż pewnego razu sójka nie wybrała się, jak to zawsze bywało, za morze...

ISBN 83-919110-5-5